

Galaktyka Guciaberga

# Witalij Babienco



## FENOMEN JEŹDŹCÓW

by waldi0055

WITALIJ BABIENKO

FENOMEN JEŹDŹCÓW

Spis treści:

Fenomen JEŹDŹCÓW.

Spotkanie.

Przeklęty i Błogosławiony.



Ściśle tajne  
N0-XCA

/86/ I-IV

**ZAŁĄCZNIK DO SPRAWOZDANIA KOMISJI  
BADAWCZEJ "FENOMENU JEŹDŹCÓW"**

**TYP DOKUMENTU:** taśma magnetowidowa.

**OKREŚLENIE:** ustne świadectwa naocznych świadków, nagrane w okresie od 14 do 18 sierpnia 19.. roku.

**UWAGI SPECJALNE:** Informacja dotycząca zjawiska nazwanego "fenomenem jeźdźców" stanowi materiał wagi państwowej i studiowanie jej jest dozwolone tylko osobom pierwszej kategorii zaufania. Ze względu na niewytłumaczalność zjawiska, potencjalną możliwość powtórzenia się w nieprzewidzianym terminie i nieprzewidzianym miejscu, a także ze względu na wielkie zagrożenie dla ludności i perspektywę zastosowania dla obrony kraju,

należy traktować wszystko, co się z tym wiąże, jako tajemnicę numer jeden.

### **Barry Setterfield, 25 lat, starszy sierżant, dowódca plutonu broni ciężkiej**

Pytacie, jak się to wszystko odbyło? Nigdy nie widziałem takiego diabelstwa! To jest, chciałem powiedzieć, że nigdy nas tak nie bili.

I w ogóle, jeszcze teraz wspomnę - skóra cierpnie. Chociaż z drugiej strony, kto wam o tym opowie, jak nie ja. Z naszych mało kto żywy pozostał.. Ja i jeszcze Rocky, i to przypadkiem. Zresztą, dobrze, po kolei to po kolei.

Dostałem rozkaz otoczyć Mokrą Górkę. To, wiecie, jak wyjechać z Mildfogs na północ - z prawej taki pagó-

rek. Rzecz jasna, skąd te "kukły" się zjawia, nikt nie wiedział. Jedyna informacja, że wzięli się nie wiadomo skąd, że cwałują - daj Bóg naszym "jeepom" tak pędzić - i że ze swoich "rohatyn" strzelają bez pudła. I to wszystko. Jak strzelają, gdzie w nich celować - diabli wiedzą, żaden z naszych miedzianogłowych, znaczy się sztabowców, pojęcia o tym nie miał. A tu - utrzymywać pozycje! To my potem do tego doszliśmy, że strzelać w ogóle nie ma po co. Na jedno wychodzi, jakby po chmurach walić. No i mogli zajść z tyłu - to byśmy w życiu jednego strzału nie oddali. Krótko mówiąc - rozkaz to rozkaz. Szepnąłem chłopakom, żeby się okopali, przyczaili, siedzieli jak mysz pod miotłą i byli gotowi. Ja i Rocky zajęliśmy punkt obserwacyjny.

Sterczymy tam, czekamy. Godzinę czekamy, dwie godziny. Nerwy, rzecz jasna, napięte. Najgorsza to rzecz - nie wiedzieć ani z kim walczyć, ani jak. Jedyna nadzieja w naszym żelastwie. Nagle krzyczą przez "walkie-talkie": widzieli ich z helikoptera koło Oberona. Rozdzielili się niby (wiecie przecież: ich wszystkich - splunąć nie warto - ośmiu było) i trzech w naszą stronę galopuje.

Przekazałem wzdłuż linii, żeby się szykowali, i zastygłem. Oczy wypatruję. I trzeba było pecha! Prosto na nas wyszli - wszyscy trzej. Pewnie wam się zdaje: niby trzech to głupstwo, Jak się nic nie wie. Myśmy też tak pomyśleli w pierwszej chwili. Teraz myślę, że i jednego by nam

starczyło.

Znaczą patrzeć - słup kurzu na drodze: pędzą co koń wyskoczy. Śmiech powiedzieć, ale nawet nie przyjrzałem im się jak należy. Tak... potężni, w brunatnej odzieży z jakimś czarnymi paskami, i koniska u nich jak się patrzy - czarne, ogromne, jak komoda. Pędzą i pałki swoje wystawili. Moim zdaniem na milę nas wyczuli. Węch mają szatański, w tym cała rzecz. Wydaje się, przejdzie ktoś dwa kroki od nas - nie zauważy, a oni z góry wiedzieli ilu nas i gdzie siedzimy.

No, jak się zbliżyli gdzieś na dwieście jardów, dałem komendę. I tu się zaczęło całe diabelstwo! Najpierw poszły w ruch "M-szesnastki".

A co się dziwicie? Wejdźcie w moje położenie. Nie będziemy przecież zaczynać od moździerzy. Sam jednego w celownik złapałem - i puszczam serię. Wydaje się, trupem położy. Nic z tych rzeczy! Galopuje sobie, całkiem serio mówię, jakby nigdy nic. Nasi strzelają jak szaleni. Wyobraźcie sobie: dwa plutony - mój i ten drugi - walą w trzy cele!

Strzępy powinny lecieć. A tu nic! Tylko konie przytrzymałi, a potem całkiem stanęli. Sto jardów od nas. Patrzę, ktoś puścił serię smugowymi. Prosto w pierś się składają, a rezultat - zero. Nie, to nie pancierz... To pewne. Gdyby był pancierz - kule by odskakiwały, widać by je było. A tu jak w dym strzelasz. Wchodzi w niego seria jak

w watę, a on jakby nawet ciekaw: stoi sobie spokojniutko i pozycjom naszym się przygląda.

Włosy mi dęba stanęły. "Walkie-talkie" drze się, "starczy" się interesują, co tam u nas słyszą, a jak ja im wytłumaczę? Atak bez napadu i obrona bez skutku? No dobra. Strach przejmuje do kości, ale znać po sobie nie dają, krzyczą komendę. Chłopcy reagują: z lewej zagrało "diabelskie fono". No, inaczej cekaem. Znów ta sama kołomyjka: bezsensowna strzelanina do upiorów. Tylko amunicję na darmo tracimy.

No więc... Kiedy "fono" zaczęło po nich zasuwac, widocznie im się znudziło. Przyłożyli "pałki" do ramion i to wam powiem, że zaczęło się istne piekło. Niebieski błysk - naszego nie ma. Błysk - trafienie. Jak oni to robią - nie zgadnę. Człowiek jakby wybucha. Momentalnie. Ani krzyku, niczego. Raz - i różowy obłoczek. Raczej czerwony. Drobne bryzgi takie, jak aerozol. A jak wiatr rozpedzi - pusto. Żeby choć strzępy munduru zostawały, czy sprzęt. A tu nic... Obłoczek zamiast człowieka - i żadnych śladów.

Jasne, myślę, koniec z nami wszystkimi pod tą Mokłą Górką. Ale może choć granaty na nich podziałają? Przeciwczołgowe? Gdzie tam! Naprowadzasz, strzelasz, głowica wbija się w pierś tej kreatury, czy też nie wbija się, a dolatuje do piersi i ... znika. Ani wybuchu, ani dziury.

A oni tak systematycznie, bez specjalnego pośpiechu



- pach! pach! - i moi chłopcy w bryzgi się zamieniają. Odzuciłem radio, cały drzę, chce mi się zaryć w ziemię na trzy jardy albo palnąć sobie w łeb. Żegnaj mamó, szepczę, żegnaj Pinny - rozpylą mnie zaraz na krwawe bryzgi, a żeby je pokręciło, te potwory! Krzyczę chłopakom, żeby zmykali gdzie pieprz rośnie, a przy tym "czerwononogich" - znaczy artylerzystów - klnę w żywy kamień - czemu nas nie osłaniają? A ci jakby usłyszeli: pociski zaczęły wybuchać przed końskimi kopytami. Nas też mogli łupnąć: odległość przecież niewielka, aleśmy o tym nie myśleli - ucieszyliśmy się niewąsko. Zaczęło nam się zdawać, że z tego wyjdziemy. Jeśli prawdę powiedzieć, to wiem teraz: tu i "fokstrot" by nie pomógł - to po naszymu bomba atomowa, dwieście kiloton, - ale wtedy podniosło nas na duchu. Ze strachu włosy pod hełmem się ruszają, a i tak triumfujemy.

I wtedy, chłopaki, ja i Rocky zobaczyliśmy coś takiego, co będzie nas w koszmarach do śmierci prześladować. Wybuchy ścian ognia zakryły jeźdźców przed nami, aż tu nagle ... najpierw jeden przebija się przez ścianę, potem drugi a za nim trzeci. Jak gdyby nie 155-milimetrowki się rozrywały, tylko fontanny wody do góry leciały, a dla tego plugastwa sama radość przez nie przejeżdżać. Tak ...

I znów zaczęli się nasi rozrywać jak żywe szrapnele - z prawej, z lewej, z prawej, z lewej. Czekamy, kiedy na nas kolej przyjdzie. Myślę, teraz Rocky się rozprysnie,

potem ja. Albo najpierw ja, a potem Rocky. Uciekać? Ucieczka sensu nie miała. Po pierwsze dokąd, a po drugie po co? I tak w biegu ustrzelą, albo dogonią i w ogóle strach pomyśleć co się stanie.

Jak to się stało, że ja i Rocky żywi zostaliśmy, nie pojmem. Czy to któryś źle wycelował - ale nie, tego być nie może, przecież wszystkich innych bez pudła rozwalili - czy to jakiś kamień albo krzak wzięli na ludzką sylwetkę. Krótko mówiąc, chlusnęło mi w oczy niebieskim, ziemia przed nami się rozprysła, drobny taki pył uniósł się w górę, bardzo gorący, ale nie rozpalony, co prawda. I zasypało nas...

Ocknąłem się już w szpitalu: jeźdźców diabli wiedzą gdzie poniosło, pewnie na poszukiwania nowych "obiektyw", a nas przybyli saperzy odkopali.

Majaczenie? Pewnie, że tak. Dokładniej, całkiem jak majaczenie. A w rzeczywistości wszystko tak właśnie było. Naturalnie z początku nam nie wierzyli. Przecież do tego czasu tylko słuchy chodziły, że po spotkaniu z jeźdźcami ludzie znikają: kto chce, niech wierzy. Szczury sztabowe wciąż rozpytywały, gdzie się pluton podział i dlaczego żeśmy jeźdźców przepuścili. Zresztą tylko z początku pytaniami nas męczyli.

A zresztą czego chcieć od tych wyrodków, skoro oni ze swoich nor w ogóle nic nią widzieli: nasz "bój" parszywy trwał wszystkiego pięć minut. A potem, kiedy i w

innych miejscach tak samo Się zdarzyło, uwierzyli...

Nie, nie, to wszystko święta prawda. I o "fono", i o pociskach. A wy myślicie, że od kiedy jestem siwy?

### **Douglas Story. 39 lat, artysta malarz**

O sobie opowiadać nie będę: to nie ma dla was znaczenia, oczekujecie ode mnie czegoś innego, chociaż dla porządku zadajecie mi głupie pytania: gdzie mieszkałem? Jakie mam poglądy? Komu to potrzebne? Ja w każdym razie nie widzę sensu w czezej gadaninie.

Chcielibyście się dowiedzieć, co widziałem? Więc o tym właśnie opowiem.

Zaczęło, się to rankiem czwartego sierpnia. W tym czasie włóczyłem się po lesie na północ od Oberona. Lubię, widzicie, pójść na odludzie, a najbardziej rano, o świcie. Tak, że chociaż raz na pół roku zamykam pracownię - i w las. Właśnie dlatego lubię Oberon, że są tam cudowne miejsca. Mieszkam przeważnie w Duluth i tam mam pracownię, a w Oberonie chatę. Mówię na nią "bungalow".

Ten ranek nie tylko pamiętam - widzę go. Zamknę oczy - i w głowie jakby ekran rozbłyśka: wszystko wyraźne, barwne. Albo nie, jakbym wspominał obraz, który sam namalowałem: widzę każdą kreskę, każde pociągnię-

cie pędzła, każdy szczegół.

Tak więc zboczyłem ze ścieżki i zabrałem się w gęstwinę - marzyłem o wystraszeniu jakiegoś zwierzaka i podziwianiu jego ucieczki.

Bez szczególnych wydarzeń przebyłem półtorej do dwóch mil. Paprocie się skończyły, las liściasty, przeważnie osinowy, przeszedł w sosnowy bór, a wkrótce drzewa zaczęły rzednąć informując, że skraj lasu blisko. Nagle przede mną, na otwartej przestrzeni, coś bezgłośnie zabłysło. Błysk nie był silny, lecz bardzo intensywny: las wokół mnie jakby przeszła błękitna poświata. Nie powiem, żeby ranie to specjalnie przestraszyło: błysk błyskiem, ale ranek był tak cichy i pogodny, że niepokój, a tym bardziej strach, po prostu nie miał skąd się wziąć.

Tylko kiedy wiatr powiał w moją stronę i przyniósł nieznany zapach - ostry, mdły, odurzający - poczułem się nieswojo. Tym niemniej poszedłem naprzód i zatrzymałem się za ostatnimi drzewami, ostrożnie wyglądając zza pni.

Widok, który ukazał się moim oczom, porażał swą kompletną, monstrualną nierealnością. Na miejscu błysku w powietrzu zarysowała się, rzekłbym nawet, "wywoływała się" - jak obraz na fotografii - jakaś konstrukcja.

Zrazu półprzezroczysta, z każdą sekundą stawała się coraz bardziej materialna, namacalna jakby, i w końcu została całkowicie "wywołana".

Nie wierzyłem swoim oczom: na łące wznosiła się budowla, przypominająca do złudzenia pocisk artyleryjski, tylko niewiarygodnie powiększony - średnicy około dziesięciu jardów i wysokości pięciopiętrowej kamienicy. Od kolosalnego pocisku różniło ją tylko jedno: konstrukcja nie była z metalu a z ... grubo ciosanego drewna. Tak, tak, drewna! Gdyby nie brązowe lub brązopodobne nity, którymi gęsto była usiana powierzchnia, podobna by była do dzieła szalonego bednarza, który stworzył gigantyczną beczkę do reklamy miejscowego piwa - ale taką beczkę, której jedno denko było normalne, a drugiego wcale nie było: zastępował je stożkowaty wierzchołek. Nity powodowały inne, równie idiotyczne skojarzenie - z makietą statku kosmicznego wykonaną przez średniowiecznego rzemieślnika.

Błysnęło raz jeszcze, słabiej niż poprzednio, powiało tym samym odurzającym zapachem, po czym jedna z "klepek" zwariowanej beczki odchyliła się w bok. Z wnętrza wysunął się długi pomost, raczej pochylnia niż pomost, a po kilku minutach zjechali po nim ... jeźdźcy. Tak, do pewnego stopnia mam się czym szczycić: zobaczyłem ICH jako pierwszy.

Wysokiego wzrostu, postawni jeźdźcy, trzymali się na swoich imponujących koniskach - podobnych do perszeronów, tylko z niezwykle długimi pyskami - niezwykle prosto, jak na parady. Ich odzież składała się z brunat-

no-szarej, chyba skórzanej peleryny, ryżych spodni z bardzo ścisłego materiału (tak to wyglądało z daleka) lub też ze skóry, z błyszczących czarnych pasków nieznanego materiału. Jeśli się nie mylę, pasków było siedem. Jeden obejmował szyję i ramiona, drugi biegł w poprzek piersi, trzeci opasywał miednicę, jeszcze po dwa były na każdej nodze - nad i pod kolanem. Drobniejsze szczegóły - jakieś odznaki na piersi i dziwaczne cekiny na plecach - ledwie rozróżniałem, za to długie aż do łokci rękawice i ciężkie wysokie buciory rzucały się w oczy, z czego jednak były - trudno określić. Gdyby były uszyte ze skóry, to najprawdopodobniej z bardzo grubej, praktycznie niewyprawionej. Każdy z nich nosił naleśnikowate nakrycie głowy - coś w rodzaju gniazda z piór cudaczego ptaka.

Dziwi mnie do tej pory, czemu jeźdźcy nie zwrócili na mnie uwagi. Oczywiście zadziałała tu moja intuicja, instynktowna reakcja na obce i niezrozumiałe - skrywałem się za drzewami i nie miałem zamiaru się pokazać. Poza tym wiatr wiał w moją stronę. Ale jeśli wziąć pod uwagę ich diabelski węch, istnie szatańską wrażliwość i spostrzegawczość, jest to i tak dziwne i niezrozumiałe.

Nie wiem, ile czasu ich obserwowałem - może pięć minut, może dwadzieścia pięć - nie do zegarka mi było. Tamci - nie wiem już, jak ich nazywać, jeśli nie "myśliwymi" - no, powiedzmy, istoty - zjechali z pochylni na

ziemię i zatrzymali się rozmawiając. Wiecie oczywiście, że ich "mowę" tylko przy dużej dozie dobrej woli można określić słowem "rozmawiali", przynajmniej w powszechnie znanym sensie. Doskonale rozróżniałem dźwięki, które wymieniali jeźdźcy - niczego dziwniejszego nie miałem okazji dotąd słyszeć. Melodyjne przeciągłe nuty na przemian z jakimś metalicznym klaskaniem. Jakby ktoś próbował grać na klawikordzie, a obok nieumiejętnie stukali na maszynie do pisania.

"Naradziwszy się" takim sposobem jeźdźcy umilkli i zaczęli uważnie lustrować okolicę. Przywarłem do drzewa i starałem się nie oddychać. Nie wiem, jak to przekazać, ale ich wygląd wydał mi się od razu groźny, chociaż z pozoru nic na to nie wskazywało. Można tylko przypuścić, że na nerwy oddziaływała ich zadziwiająca, spokojna pewność siebie. Najmniejszy gest nie zdradzał zaniepokojenia, ruchy ich zdawały się prawie leniwe, stwarzało to wrażenie, że czekała ich beztroska przechadzka - i to wszystko.

Oczywiście wcześniej czy później najeźdźcy musieli mnie odkryć. Teraz wiemy - i późniejsze tragiczne zdarzenia to potwierdzają - że właśnie ludzie byli obiektem ich poszukiwań, ich tak zwanego "polowania".

Tylko że do mnie się nie dobrali: z lasu na otwartą przestrzeń wyszła kobieta. Możliwe, że to była młoda dziewczyna - nie zauważyłem.

Skraj lasu tworzył półkole. Znajdowałem się na jednym końcu łuku, kobieta ukazała się na przeciwnym, w odległości trzystu jardów. Jeźdźcy mieli znacznie bliżej do mnie, ale za to kobieta nie podejrzewała nawet o ich obecności! Ścisłej, zauważyła "becz kę" zbyt późno. Stała jak wryta i z otwartymi ustami, jak śmiej przypuszczać, zapatrzyła się na fantastyczne widowisko, nie wiedząc, że pozostały jej tylko sekundy życia.

Jeden z jeźdźców ujął długi, matowo błyszczący brązem, rozdwojony na końcu przedmiot - taka broń była przytroczona do każdego siodła - przyłożył dwurogą kolbę do ramienia, wycelował i...

Wy, oczywiście, jesteście zmuszeni po raz setny wysłuchać opowieści o "efekcie wystrzału", ale proszą zauważyć, że ja byłem pierwszym, jeśli nie jedynym człowiekiem, który widział początkowy moment "polowania", obserwował je ze stosunkowo bezpiecznego miejsca i z dość bliskiej odległości. "Efekt" jest tak przerażający, że dotąd z drzeniem wspominam te sekundy, chociaż w ciągu następnych dni nie mało się napatrzyłem.

"Strzelba" - właśnie strzelba, nic innego - rozbłysła niebieskim światłem od ostrza do rozwidlenia, potem świecenie przebiegło błyskawicznie całą jej długość, oślepiającym punktem zerwało się z ostrza, natychmiast stopniało w powietrzu, a kobieta... kobieta została rozerwana.



Nie obalona na ziemię, nie przestrelona na wylot, nie spalona - rozerwana. Jakby wewnątrz niej znajdował się ładunek wielkiej mocy i zdetonował - nic innego nie mogłoby wywołać podobnego efektu. Ciało kobiety wzbiło się w górę różowo-czerwoną chmurką rozpędzoną momentalnie wiatrem i... koniec. Ani huku, ani krzyku, cisza. Nieme kino... Jeźdźcy wymienili kilka trzasków, roześmieli się - z zadowoleniem, jak mi się wydało - i spięli konie. Kawalkada pomknęła w stronę przeciwnego skraju lasu, skąd wyszła nieszczęsna kobieta, a ja, nie posiadając się ze strachu i szaleństwa, zamroczony dzikością i bezsensem wydarzeń, rzuciłem się z powrotem, łamiąc poszycie. Co było dalej - to już niezbyt ważne: maligna, gorączka, ucieczka przed jeźdźcami, którzy dotarli do Oberona, ewakuacja w Fargo, a potem - droga do Duluth.

Ale wiecie, o czym myślę ostatnio? Przecież wszystko minęło. Świadców pozostało niewiele. Chodzą różne słucho, ale i one zanikną. Jednym słowem, bardzo prędko cała historia ulegnie zapomnieniu. Weźmy też pod uwagę tajność dokumentów oraz weto rządowe w sprawie transmisji radiowych i telewizyjnych, publikowania relacji, wspomnień, hipotez ... No dobrze, wzgląd na obronę kraju, nieznamość potencjalnego przeciwnika, wstyd za własną bezsilność, zapobieżenie wyolbrzymionej gadanie - to zrozumiałe. Ale co z ludźmi? Po prostu ludźmi? Niewinnymi, nie znającymi niebezpieczeństwa, bezrad-

nymi nawet pod osłoną całej współczesnej techniki. Żyjącymi na północy, południu, wschodzie i zachodzie. Ludzie przecież niczego nie wiedzą i nie ma gwarancji, że w czasie drugiej inwazji jeźdźców - jeśli ona nastąpi - ocalimy życie. Czy wyższe racje i prosta ludzka nadzieja na przyszłość, wiara w nią - nie powinny być tym samym? A tak może nastąpić dzień, gdy na Ziemi tylko wyższe racje pozostaną, a ludzie popłyną nad polami w postaci różowych obłoczków.

Wyobrażacie sobie? Nad pustą planetą - subtelne czerwone obłoczki...

Po co mówię to wszystko? Chcę was po prostu ostrzec. Weto i tajemnice państwowe niezbyt mnie wzruszają. Namaluję obraz. Może nawet kilka.

Potrzebuję tylko czasu, żeby przyjść do siebie, i obraz na pewno będzie. Obowiązkowo. Niech to nawet będzie ostatnie, co zdołam stworzyć, ale za to - najlepsze. Czuję to, takiej okazji nie przegapię. I wiecie, co tam będzie? Miasto, niewielkie miasteczko, puste ulice, błękitna poświata nad dachami i kłęby różowej mgły nad jezdnią, przypominające z grubsza rozmyte sylwetki ludzi. Wielu ludzi. A przez mgłę prześwieca figura jeźdźca. Powoli na jeźdźca na was, cały skropiony krwawymi bryzgami, prawa ręka - niedbale - na matowo połyskującej rohatynie, a w oczach - obojętność i niezmacony spokój.

Będzie się to nazywało "Niebieskie i różowe". Albo

nie. Nie tak.

Lepiej - "Wieczny odpoczynek"...

Patem Brinch, 45 lat, pastor metodystów

Prawdziwie powiedziano: "Nie może ukryć się miasto stojące na szczycie góry!" I nie ukryło się miasto, nikt się nie ukrył w tym mieście.

Stoimy teraz na szczycie góry, mali, nadzy, żałośni, a jeźdźcy pędzą na nas zewsząd. To kara, kara boska, nie jeźdźcy! Znikli oni i znowu przyjdą, i nikt się już wtedy nie ocali. O, jak przewidujący był Jan Apostoł, jak daleko i jak strasznie spoglądał! Lecz nie koń blady nam się ukazał, a koń czarny i mroczny, i nie z pikami jeźdźcy pędzili po ziemi, lecz z palącymi błyskawicami.

Widziałem, wszystko, widziałem: i jak mknęli w diabelskiej błękitnej poświacie, i jak ludzie w szatański czerwony dym się obracali, i jak nie miała się tamtych ni kula, ni bomba.

I zdjął mnie strach, wiarę traciła trzoda moja. W potwornej niewierze w niebyt odchodziła. Krzyczałem im: "Wierzcie, bracia! Wierzcie w ostatniej chwili swojej - w tym siła nasza! I niech nam Bóg dopomoże!" A w odpowiedzi sły-

szalem bluźnierstwa: "W kogo wierzyć, ojciec Pat? A może nie ma go już? Może i on - paf! - i różowy obłoczek, co?"

I cierpiałem, lecz milcząc cierpiałem; jako że nic na to odrzec nie mogłem, jako że pyłem różowym rozsypał się człowiek i pyłem różowym wiara ich się rozsypała. Czyż nie o tym mówił Nauczyciel: "Jeśli sól moc swoją straci, to w jaki sposób słoną ją uczynić? Nic z nią zrobić nie można, chyba że precz ją odrzucić..."

Lecz nie śmiałem jej odrzucać, bo pamiętałem inne słowa Syna Człowieczego: "We wszystkim jako chcecie żeby z wami czynili, tako i wy czyńcie z nimi". I tak uczyniłem: zebrałem resztę żywych i do rzeki z nimi wszedłem. Cały dzień, od świtu do zmierzchu, brnęliśmy rzeką Cheyenne, a wychodzić się baliśmy. Słusznie się mówi: nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, jednak nie z tej przyczyny brzegów unikaliśmy, lecz dlatego, że w wodzie śladów nie ma. Chociaż diabelski węch mieli wysłannicy piekieł, lecz bezsilnym się okazał: nie ma zapachu na rzece.

Uradowało nas, że nie ma za nami pogoni, wielce uradowało, radością przepełniło, i przedwczesny triumf ten owładnął nami. Byli i ostrożni, błagali wszystkich i nocą po pas w wodzie iść, lecz nie: zhardzieli ludzie, uroili sobie, że przechytrzyli rycerzy Antychrysta, wyszli na brzeg i spali na ziemi, i nawet odzież nad ogniem suszyli.

A rano wstali, ruszyli w drogę i - górze nam! - nad rzeką sznury wiszą, na nich czarne strzępy zawieszane. Brzydko pachniały te strzępy i mieniły się w słońcu nie niebiańskim zgoła blaskiem.

Przeraziłem się, i ludzie się przerazili. Rzuciliśmy się do brzegu, w bok, do lasu - i tam brzydki zapach, i tam czarne strzępy wiszą. Zawróciliśmy, nie przebyliśmy i mili - znów to samo: czarne plamy przed nami. Straszne, straszne, brzydkie strzępy: co tam dotknąć – zbliżyć się grzech!

Myśleliśmy, zgadywaliśmy, radziliśmy - tylko czas żeśmy stracili: dognało nas diabelskie nasienie. Czy nas jeszcze nocą dopędzili, czy rano dopiero się zjawili? Nie wiem. Wyrośli za strzępami jak spod ziemi, i dalej bić w nas błyskawicami swymi.

Jeden za drugim ludzie na oczach moich mgłą czerwoną po ziemi się ścielili. A ja stałem i uciekać nie mogłem: tylko Pana błagałem, aby szybciej śmierć na mnie raczył zesłać, bym koszmarnego widoku nie musiał oglądać. I wtem jeźdźcy strzelać przestali. O cudzie! Jakby się przysłuchali, spojrzeli po sobie - ich wszystkich czterech było – i nagle w cwał się puścili. Do tyłu, w przeciwną stronę. Nie pojmuję, co im się stać mogło. Odjechali, a mnie dreszcz przeszedł. Na ziemię się opuściłem, rozglądam się: czy sam wśród żywych zostałem, czy jest jeszcze kto? I widzę: brnie ku mnie Maks Herrington, bibliote-

karz oberoński. "Ojcie - szepcze - ojcie Pat, wiesz, co to za czarne szmatki były?" Kręcę głową, domyślam się Już, lecz powiedzieć nie mogę, gardło ściśnięte. "To chorągiewki - wydusza z siebie Herrington - chorągiewki, jak na wilki! Tylko nie nasze, czerwone, lecz czarne..."

I wtedy pożałowałem, że na świat przyszedłem. Lepiej by mi było nie żyć, niż świadkiem takiej hańby rodu ludzkiego do końca moich dni pozostać.

Ezra Wlssen, 56 lat, profesor uniwersytetu w Chicago, fizyk-kosmogonik, doktor filozofii, stały członek Komisji Kontakt z Cywilizacjami pozaziemskimi

No cóż, panowie, sądzę, że moje osobiste wrażenia na obecnym etapie nie są najważniejsze. Chociaż widziałem jeźdźców trzy razy, lecz żadnych wniosków z wizualnych obserwacji wyprowadzić nie potrafię. Odległość była zbyt duża i zmuszony byłem korzystać z lornety morskiej i lunety stereoskopowej, które zostały mi udostępnione dzięki uprzejmości dowódcy kompanii piechoty morskiej i starszego oficera sztabu Jednego z artyleryjskich pododdziałów.

Uprzedzając ewentualne pytania powiem od razu, że wszystkie przypadki miały miejsce 11 sierpnia, to jest do-

kładnie tydzień od momentu pojawienia się zagadkowych obiektów i tylko dobę przed ich tajemniczym zniknięciem. Jeśli słuchaczy interesuje dokładna geografia mojego, Jeśli tak można powiedzieć, jednostronnego i niejawnego kontaktu, to proszę: na południowy zachód od Devils Lake, dokąd przybyłem helikopterem z Chicago 10 sierpnia, raniej więcej 4 do 5 mil od granicy miasta.

Przybliżony czas: dziesiąta, czternasta, siedemnasta. We wszystkich przypadkach zaobserwowano przemieszczanie się jeźdźców grupami po dwa-trzy obiekty w kierunku północno-zachodnim.

Skoro zaproszono mnie po to, abym przedstawił wnioski i hipotezy Komisji Kontaktu, której nadzwyczajne posiedzenie odbyło się 13 sierpnia, pozwolę sobie zatrzymać się na czterech aspektach "fenomenu jeźdźców". Mam na myśli problem powstania "Fenomeny" - należy tu również kwestia lokalizacji miejsca ich stałego pobytu - następnie problem odporności obiektów, celu "inwazji" i wreszcie możliwych przyczyn ich nagłego zniknięcia.

Jak doskonale wiadomo, informacja dotycząca "fenomenu jeźdźców" jest niezwykle skąpa, a fakty, którymi dysponujemy, nie poddają się ścisłej analizie naukowej, dlatego też nie należy oczekiwać od mojego wystąpienia głębokich i uargumentowanych wniosków. Cała praca Komisji - do czasu uzyskania nowych danych - może polegać jedynie na zebraniu i dokładnym przeanalizowaniu

wszelkich możliwych hipotez.

Tak więc, problem pierwszy. Skąd się wzięli jeźdźcy i w jaki sposób się pojawili?

Na ten temat są zasadniczo dwa punkty widzenia. Część badaczy jest zdania, że zetknęliśmy się z pozaziemską cywilizacją, która odkryła lub przejęła od kogoś innego umiejętność superszybkiego, jeśli nie momentalnego, pokonywania międzyplanetarnych, międzygwiazdowych czy międzygalaktycznych odległości. Sposoby urzeczywistnienia tego rodzaju "skoków" mogą być rozmaite, ale i one dzielą się na dwie grupy: przejście czasoprzestrzenne, to jest wyjście do nadprzestrzeni lub wykorzystanie (co na jedno wychodzi) podprzestrzeni - proszę mi wybaczyć tę fantastyczno-naukową terminologię - i przejście czysto czasowe. To ostatnie należy do dziedziny już nawet nie naukowej, a całkowicie bajkowej fantastyki, jednakże odrzucać zawartego w tej hipotezie racjonalnego jądra nie możemy. Sens jest tu następujący: jeśli dopuścimy istnienie pra- lub postcywilizacji na naszej planecie, a także możliwość podróżowania w czasie, to nie będzie żadnych przeszkód, aby pojawili się u nas "goście" z przeszłości lub przyszłości Ziemi.

Drugi punkt widzenia - to interpretacja "fenomenu jeźdźców" przy pomocy hipotezy o istnieniu światów równoległych. Istnienie "sobowtórów" naszego świata jest zasadniczo niemożliwe do udowodnienia, ale w pełni do-



puszczalne. Mówiąc prościej, jeźdźcy są przybyszami z innego wymiaru.

Obie teorie - to mniemanie jest powszechne - mają duży minus. Sądząc po wyglądzie, odzieży, sposobie podróżowania, używanych materiałach, a także zachowaniu jeźdźców, nie mogą oni być przedstawicielami wysoko rozwiniętej cywilizacji. Wszyscy członkowie Komisji zgodnie przypisują im poziom, odpowiadający naszemu wczesnemu średniowieczu. Jest całkiem naturalne, że rozum na tak niskim szczeblu rozwoju w żadnym razie nie jest w stanie pokonywać przestrzeni czy czasu, jeśli... jeśli nie jest to rezultat wiedzy przekazanej przez jakieś inne, technicznie rozwinięte istoty.

Jeszcze jeden "haczyk": dokładne trafienie obiektu do zadanego punktu końcowego, inaczej mówiąc "dokładność celowania". "Beczka" mogła na przykład zawisnąć wysoko nad ziemią, aby potem spaść jak kamień, lub też "wywołać się" we wnętrzu Ziemi i pozostać tam "zamurowaną" w skale na wieki, jednakże nie zaszło ani jedno, ani drugie: pojawiła się dokładnie NA powierzchni. Ten fakt wywołał zażarte spory wśród członków Komisji, lecz nie doprowadziły one do zajęcia zgodnego stanowiska.

Następne pytanie: dlaczego jeźdźcy okazali się niewrażliwi na ziemską bron? Co więcej, dlaczego nie "zadziałał" żaden środek ochrony?

Jeśli chodzi o pułapki, zapadnie, wilcze doły i inne

prymitywne systemy pasywnego działania zastosowane - jak na ironię - kiedy doskonalsze sposoby wykazały swą całkowitą nieprzydatność, to znaczy w ostatnich dniach "inwazji" (nazwijmy to tak), jest to mniej więcej jasne. Jedyne wyjaśnienie zaproponowane przez Komisję sprowadza się do hipotetycznej superwrażliwości jeźdźców. W samej rzeczy, fakt, że ani jeden z nich nie wpadł do starannie zamaskowanych pułapek, w wielkiej ilości wykopanych w strefie "inwazji", można objaśnić tylko czynnikami sensorycznymi. Znacznie bardziej złożoną i - z punktu widzenia nauki - interesującą wydaje się analiza odporności obiektów wobec współczesnej broni. Istnienie pancerza, jest, rzecz jasna, wykluczone. Po pierwsze, nacalni świadkowie, pozostali przy życiu po bliskich "kontaktach" z jeźdźcami, jednogłośnie stwierdzają, że ich odzież była wykonana wyłącznie z materiałów skórzanym i tekstylnym; odzież choć niezwykła, lecz mimo wszystko - powtarzam - ze skóry i tekstyliów. Mało tego. Dowolny, nawet superwytrzymały pancerz, zabezpieczyłby skuteczną ochronę przed kulami, ale w żadnym wypadku przed artylerią, miotaczami ognia i bombami lotniczymi, a wszystkie te rodzaje broni były użyte. Dla eksperymentu nieźle byłoby spróbować ataku jądrowego lub chemicznego, ale, na szczęście dla ludności, nie doszło do tego. Niewykluczone, że i ten rodzaj działania okazałby się mało efektywny, za to mieszkańcy i przyroda ponie-

śliby straty nie do naprawienia. Tak więc problem istnieje nadal: dlaczego jeźdźcy okazali się niewrażliwi na broń palną, burzącą i zapalającą? Tutaj znów mamy dwa punkty widzenia.

Pierwszy: teoria parapsychologiczna. Być może na jeźdźcy - albo w sposób naturalny, albo przy wykorzystaniu nieznaney nam i niepojętej dla nich samych (właśnie tak) techniki - posiadają zdolności telepatyczne, a dokładniej - telekinetyczne. Inaczej mówiąc, są w stanie momentalnie przemieszczać w przestrzeni, oddalać od siebie każdy potencjalnie niebezpieczny obiekt, niechby to była kula, pocisk artyleryjski czy odłamek. Dokąd go przenoszą i czy przenoszą rzeczywiście - pozostaje rzecz jasna zagadką.

Druga teoria jest, można powiedzieć, temporalna. Jeśli założyć, że jeźdźcy przybyli do nas z innego wymiaru, o czym mówiłem wcześniej, to dlaczego nie przypuścić, że pomiędzy nimi i otaczającym ich obcym środowiskiem znajduje się pewna subtelna "warstwa", jeśli wolicie powłoka "innego czasu", będąca barierą nie do przebicia dla dowolnego obiektu materialnego naszego świata? Można to wyrazić też w inny sposób: czy jeźdźców nie chroniła bariera czasowa? Jeśli tak, to staje się jasne, dlaczego wszelkie sposoby użycia siły okazały się nieefektywne.

W tym miejscu, zanim przejdę do następnego problemu, chciałbym zauważyć co następuje: żadna teoria z

osobna nie daje całościowego obrazu "inwazji". Innymi słowy, żadna z nich, nawet jeśli przypuścić, że wszystkie są realistyczne, nie może być prawdziwa. Prawda leży albo na styku tych hipotez, albo jest w ogóle niedostępna dla naszej wyobraźni. Istotnie, weźmy choćby teorię temporalną. Objasnia ona dobrze pojawienie się jeźdźców i nieważliwość na naszą broń, lecz przy tym w zupełności wyklucza możliwość oddychania, odżywiania się i w pewnej mierze aktywnej działalności jeźdźców w naszym świecie. Jeśli zabijają ludzi silnym impulsem energetycznym, to bariera czasowa powinna być anizotropowa, co jest nie do przyjęcia. Jeśli jest ona dwustronnie nieprzenikliwa i strzelają oni, powiedzmy, jakimiś "ładunkami czasu" podobnymi do substancji bariery, to jak i czym odżywiają się i oddychają?

Analogiczna sytuacja istnieje w przypadku parapsychologicznej, a także dowolnej innej teorii: każda udziela odpowiedzi tylko na część pytań, spójnego objaśnienia wszystkich wydarzeń na razie dać nie umiemy.

Przejdźmy teraz do celu "inwazji" Tutaj wkraczamy już w sferę psychologii, dokładniej w sferę ksenopsychologii.

Najprostszą i przypuszczalnie najbardziej błędną drogą jest przeniesienie na psychikę jeźdźców naszej ziemskiej psychologii, niestety, niczego innego zaproponować nie możemy. Niektórzy członkowie Komisji uważają, że

na Ziemi zjawili się zdobywcy, niszczący rdzennych mieszkańców dostępnych, im światów w celu rozszerzenia własnego terytorium lub w poszukiwaniu jakiegoś "Eldorado".

Nawiasem mówiąc, dlaczego właśnie "niszczący"? To pytanie zadaje drugą grupą członków Komisji.. W wyniku kontaktu z jeźdźcami ludzie znikają, to prawda, ale... na razie Jeszcze nikt nie udowodnił, że mamy tu do czynienia z zabójstwem, a nie czymś w rodzaju "przesiedlenia", inaczej -"porwaniem" Ziemi przez przybyszów, w wyniku którego pozostaje widomy ślad "przeniesienia" - różowa mgiełka.

Wreszcie istnieje następujący punkt widzenia: "myśliwi" - to po prostu... "sportowcy", jeśli się można tak wyrazić. A dlaczego nie? Czy podstawą ich "działalności" nie mogłaby być czysto łowiecka namiętność? Czy nie mogli wziąć ludzi za ... zwierzynę, tak, tak, zwierzynę, której tępienie (tu znowu wracamy do wersji zabójstwa) jest zajmujące i istnienie której - nawet przy całym podobieństwie tępiących i tępionych - jest puste i bezmyślne? Bezmyślne, oczywiście, z punktu widzenia ograniczonych w rozwoju "myśliwych". A czy my, ludzie, nie tępiemy w podobny sposób wielu gatunków, w tym i hipotetycznych rozumnych - na przykład delfinów - z tą tylko różnicą, że przywykliśmy wykorzystywać mięso zwierząt w charakterze pożywienia, wypychać je dla rozmaitych kolekcji,

czy też cenić ponad miarę różne drobiazgi: kły, kość słoniową, pióra, łuskę... gdy tymczasem "myśliwi" być może odżywiają się w inny sposób, a kolekcji i różnych wytworów nie potrzebują?

Otóż to, szanowni panowie. Niełatwo rozstać się z myślą, że człowiek jest panem i koroną stworzenia, czyż nie? Mimo to koniec tej bajki jest wyraźny. Teraz będziemy musieli tyć rozważnie, trzeba będzie rozglądać się, czy nie błysnie gdzieś niebieski wybuch. A jeśli błysnie - nauczymy się biegać szybciej niż gepard, zarywać się pod ziemię skuteczniej niż kret, uciekać w głębiny morskie zręczniej niż kaszalot. To będzie zemsta Indian i zemsta bizonów. Zemsta Zulusów i Guanczów, zemsta nieszkodliwej krowy morskiej Stellera. Pośrednia zemsta, rzecz jasna, ale w tych dniach odpowiadaliśmy za nich bezpośrednio.

Zresztą odszedłem od tematu. Ostatni aspekt "fenomeny jeźdźców", któremu chciałbym poświęcić uwagę - to możliwe przyczyny ich zniknięcia. Może się to wydać dziwne, lecz zagadka ta nie znalazła ani jednego, nawet quasi-naukowego objaśnienia. I właśnie tu jest największe pole dla fantazji. To w istocie zadziwiające: istoty nie bojące się niczego, absolutnie niewrażliwe na naszą broń, przez tydzień bezkarnie siejące śmierć wśród ludzi - nagle znikają. Co więcej, nie tylko znikają, lecz uciekają, uciekają w popłochu.

Podporządkowując się nieznanemu sygnałowi przekazanemu, być może, przez jednego z nich, a możliwe, że przez całą grupę - z szaloną szybkością zdążają do swego "statku" czy też "beczki", jak ją zaczęto nazywać za jednym z naocznych świadków, - i rozpływają się w powietrzu jak koszmarny miraż. W czym rzecz? Nie rozumiemy. Oczywiście, to wspaniale, że się w końcu wynieśli. Niczego lepszego nie można było sobie życzyć. Lecz powinniśmy przecież zrozumieć, co ich przeraziło!

Czy mamy prawo odetchnąć z ulgą i cieszyć się, skóro nie potrafimy dociec przyczyny ich ucieczki? A jeśli pojawią się raz jeszcze, czy zdołamy doprowadzić do powtórnego "wygnania"?

Spróbujmy się w tym połapać. Co może zniechęcić myśliwego do polowania? Kłusownika oczywiście prawo w postaci przedstawicieli władzy.

Odpada? Odpada. Zawodowego łowcę - brak zwierzyny. Też odpada. Myśliwego-amatora - tylko zwierzę, przeciw któremu jego broń jest bezsilna i które zagraża jego życiu. Oczywiście, i to w naszej sytuacji nic nie daje. Pójdźmy więc dalej. Co może stanąć na drodze konkwisty? Siła, i nic prócz siły. Widać, że i w ten sposób do sedna nie dotrzemy. Nie zdołaliśmy przecież przeciwstawić niczego ważkiego broni przybyszów i ich odporności.

Wreszcie, czego się może przestraszyć krzyżowiec? Siły nieczystej? Wątpliwe. Dysponuje on przecież całym

"arsenałem" środków przeciwdziałania, poczynając od znaku krzyża i relikwiarza, a kończąc na święconej wodzie i krucyfiksie poświęconym przez samego papieża. Jeśli to nie pomaga i diabeł dalej knuje intrygi, krzyżowiec - prawdziwy krzyżowiec - odczuwa tylko zdziwienie, lecz nie strach. Może jest w stanie wpaść w panikę pojawiając się, że Grób Pański jest fikcją, że nie ma go i nigdy nie było? I to jest nierealne. Takiej myśli nikt mu nie podsunie. Nie znalazłszy świętości w oczekiwanym miejscu zacznie jej szukać w innym, przekładając drogę ogniem i mieczem.

Zresztą nie będę panów dalej dręczyć domysłami. Przejdę do razu do przypuszczenia, które moim zdaniem choć w pewnej mierze jest w stanie cokolwiek wyjaśnić, naprowadzić na właściwą myśl. Siła, z którą się zderzyliśmy, jest siłą prymitywną, to pewne. A więc może w walce z nią należy wyjść od prymitywu? Teraz, oczywiście, są to myśli "post factum", lecz kto może zaręczyć, że w przyszłości podobna sytuacja nie zajdzie ponownie? Tak więc zastanawiam się, co mogłoby wydać się przybyszom - jeźdźcom - obrazem zła? Jakie demony zamieszkują świat ich mitologii i czy możemy te "demony" pozostawić im przed oczami?

Albo na przykład totem. Każdy wie, jak wielka moc skrywała się w totemie dla każdego plemienia wyznającego animizm, i tak samo wie każdy, jak niezwykłony



był wróg, który zawładnął w boju takim świętym totemem! Żeby tylko wiedzieć, jakie totemy posiadają nasi niedawni "goście"!

Rzecz jasna, pomiędzy prymitywnymi animistami i krzyżowcami - choćby w historii naszej Ziemi - dystans jest ogromny, lecz jest w tym przypuszczeniu, sędzę, ziarno prawdy: przecież i krzyżowiec nie podniósłby ręki na świętą chorągiew!

Oczywiście mogę się mylić. Nawet na pewno się mylę, gdyż cały czas posługuję się specyficznymi ziemskimi pojęciami, staram się zmieścić obcych w dobrze znanym układzie współrzędnych. To nie tylko mój niedostatek, to wada, której nie uniknie żaden człowiek. Tym niemniej wierzę, że rozwiązanie zagadki jeźdźców jest możliwe i będę niezmiernie rad, jeśli dokona się tego na jednej z dróg zaproponowanych przez Komisję.

DOKUMENT N2 XCA /86/ V /taśma magnetowidowa,  
dodatek do XCA /86/ I-IV/

DATA: 21 sierpnia 19.. roku.

Jenny Watfolks, 6 lat

Ojej, wujaszku, ja nic a nic nie zawiniłam prawda? To on sam. Wszyściutko wam opowiem, tylko nie krzyczcie na mnie. Ja go wcale nie wyganiałam i nigdy go przedtem nie widziałam. Ja tylko siedziałam w ogródku i rysowałam. A tatuś do miasta pojechał. I mamusia z nim. Oni razem pojechali i powiedzieli, żebym nigdzie nie chodziła tylko rysowała. Ja bardzo lubię rysować. Tatuś mi zrobił stolik w ogródku, zieloniuteńki, i krzeselko malutkie mi zrobił, żebym rysowała. To ja siedziałam i rysowałam. Bo tatuś powiedział, że mówią, że dzieje się coś eks... ekr... ektrydynamicznego, i u nas radio nie gra, i trzeba wyjaśnić i żebym ja Betty słuchała. A ja Betty nie lubię. Ona siedzi w kuchni i ze mną się nie bawi. To ja siedziałam i rysowałam. A tu jakiś pan na koniku ja-ak wyskoczy z krzaków koło mnie. On taki czarnybył i jego konik też czarny-czarniutki. Ale ja się wcale nie przestraszyłam. Ja myślałam, że to myśliwy, u nas jest dużo myśliwych. A on jakąś pałkę trzymał zamiast strzelby i ja myślałam, że on się tak bawi, i tak mu mówię spokojnie: a pan to na niby poluje, czy co? Ja mówię, że też mam taką strzelbę na niby, drewnianą, tatuś mi zrobił.

A potem widzę, on na mnie wcale nie patrzy, spoglądam, on na mój rysunek patrzy i aż pałkę swoją opuścił, a oczy ma takie wiel-kie-wielgachne, jakby się czegoś

złakł. I nawet się zatrząsł, i konik jego też się zatrząsł, i jak przysiadzie na tylne nogi, jak zamacha kopytkami w powietrzu. A pan zagwizdał na gwizdku. Bardzo głośno, tylko cieniutko-cieniutko. Ja sobie pomyślałam, że wcale nic nie słyhać, tylko uszka bolą. A konik się odwrócił i pan szybko odjechał. Prawda, że ja nic nie zrobiłam, to on sam odjechał. Nie będziecie chyba na mnie krzyczeć? A potem ja sama chciałam zobaczyć, czego ten wujek się tak wystraszył. Spojrzałam na swój rysunek - i aż mi się samej strasznie zrobiło. Słowo daję! Ja tam na dużej kartce dziwadło okropne narysowałam, duże takie dziwadło. Okropne, że aż strach: bez nosa, brodate i na pięciu nogach!...

TLUM. ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

## SPOTKANIE

Mikropowieść z cyklu KOMRAZ (Komisja Rozbrojenia)

*„Wyprodukowany w Jemenie metodą fabryczną doświadczalny prototyp boi, odpornej na działanie środowiska i pracującej na paliwie atomowym... kosić... Tom...*

*zagwarantowane... wojskowa broń palna... w razie awarii boi jądrowe środki wybuchowe... poprawka zegara 21... znakomite wyjście na cel... wielka nagroda... sygnalizacja optyczna... dokładna kopia... 5 od góry... komitet zbrojeniowy... okręt strażniczy 914 Północny Jemen 913... środki łączności pracują systemem «tylko przekaz»... eksplozja jądrowa w powietrzu... niesamobieźna bezpokładowa barka... główna baza działania... kurs okrętu 38... «lokalizacja wątpliwa». .. Brytyjskie Europejskie Towarzystwo Transportu Lotniczego... obserwator N 15 strefy Ugandy... «habla»... nastroje zdradzieckie... potencjał atomowy... wywiad radiotechniczny... O”*

Czytałem raz po raz te brednie, wypisane cienkimi, zielonymi kreskami na monitorze komputera i niczego nie rozumiałem. Dwie godziny głowiłem się nad szyfrogramem, ustaliłem klucz, nawet dwa klucze — i wszystko na nic. Wychodziły jakieś bzdury, nie pozbawione zresztą pewnego sensu.

Sądząc z rozszyfrowanego tekstu chodziło o operacje morskie, prawdopodobnie z użyciem broni jądrowej, na wodach otaczających Półwysep Arabski. Była tu ponadto w jakiś sposób zamieszana Uganda. A także, nie wiadomo dlaczego — brytyjskie towarzystwo lotnicze. Oczywiście, również komitet zbrojeniowy — zakonspirowana „łoża”, której przedstawiciele stale nam się wymykają.

Wariant drugi: odczytanie szyfru poszło fałszywą drogą i dlatego przed oczyma jawi się zupełna abrakadabra. Ależ nie, raczej nie. W Jemenie, konkretnie na Sokotrze, rzeczywiście montowano doświadczalny prototyp boi ekologicznej z atomową instalacją energetyczną. Boję tę nazywano tylko ekologiczną, w rzeczywistości kontrolę nad jej produkcją przejął nasz Komitet. Gdy wystrzelimy serię takich boi i rozrzucimy po oceanach, jakakolwiek aktywność o charakterze wojennym w dowolnym środowisku nieuchronnie znajdzie się pod naszą kontrolą.

Cóż to jednak takiego „habla”? Zresztą przetłumaczyć mood rat jako „nastroje zdradzieckie” można jedynie z wielkim trudem. Jaki tam zresztą ze mnie specjalista od szyfrów? Krótki kurs łamania szyfrów, który przeszedłem w ciągu tygodnia bezpośrednio przed wylotem na aukcję, no i moje młodzieńcze zafascynowanie ciągiem Fibonacciego — oto wszystko, co składało się na moje aktywa. Naturalnie, plus komputer z readerem — bez tych przyrządów w ogóle nie otrzymałbym szyfrogramu. A oto pasywa: brak czasu, słaba znajomość amerykańskiego slangu wojskowego oraz napięcie, które towarzyszy mojej pracy. Brakowało tylko, żeby Olaf wykrył, czym się zajmuję siedząc spokojnie w fotelu „Stratoportu”. Strasznie irytuje niepewność: nie mam, wcale nie mam gwarancji, że kryptogram jest złamany jedno-znacznie.

Skasowałem na monitorze tekst rosyjski i wywołałem

z pamięci komputera tekst angielski:

*„Prefab Yemen AE PEB mow  
Tom garand FE buoy EMG  
ADM We U wow T kudo  
VS do e IE MB DE iad N YEM  
ibe SO AB YC MOB shch  
PD BEA O ae UG Z habla  
mood rat APOT ER O”*

Tak, jednoznaczności nie ma wcale. Pierwszy wiersz jest wprawdzie zrozumiały, z wyjątkiem ostatniego wyrazu mow — „kosić”. Za to w czwartym wierszu aż się prosi całkiem inny przekład: VS — „eskadra do zwalczania łodzi”... do — „sprawa” (tu w znaczeniu bitwa)... e — zgodnie z kolejnością w alfabecie oznacza cyfrę 5, ocena sytuacji według danych wywiadu... bombowiec wyposażony w rakiety... okręt do zwalczania łodzi... iad — 914... N YEM = Północny Jemen...” Również bzdura, naturalnie, ale jakieś znaczenia w tym wszystkim przecież tkwią.

W wierszu piątym i dalej — znów liczne możliwości interpretacji. SO może oznaczać zarówno „tylko przekaz”, jak i „szczególne rozporządzenie, rozkaz specjalny”, zaś „eksplozja jądrowa w powietrzu” (AB) może się okazać „bazą lotniczą”. Shch przetłumaczyłem jako „kurs okrętu 38”, dość dowolnie zamieniając oznaczenia litero-

we na cyfry, a przecież równie dobrze może to być angielską transkrypcją rosyjskiej głoski „szcz”, wówczas zaś sprawa przybiera całkiem oryginalny obrót: moje nazwisko brzmi Szczukin. Z równym prawdopodobieństwem zresztą te cztery litery mogą oznaczać ship's heading Channel, to znaczy „kurs okrętu — kanał La Manche”.

Wreszcie ostatnie linijki. UG — to Uganda; nie sądzę, by tu pasowało co innego. Ale „Z habla” da się odczytać jako „strefa 812 — rejon startu”, i wówczas dalej: „główny rozkaz bojowy 4... rakiet-torpeda... pocisk jądrowy... wywiad radiotechniczny... O”. W tym wariacie tekst również kończy się literą O, i to bez wątpienia oznacza „Olaf” lub „Olsen”. On sam siedzi przede mną w piątym rzędzie — Olaf Olsen, mój stary znajomy i równocześnie nie-znajomy. Jego złotą czuprynę, nie tkniętą siwizną, widać z każdego punktu salonu. Olsen — dwa metry jak obszył, wszystkie lotnicze fotele są dla niego za małe.

Tak więc O — to Olaf. Na wszelki wypadek mam także rezerwowy wariant deszyfracji, bez skrótu imienia informatora: „La mood RA TA, PO Ter O”. Oznacza to: „rejon startu... tonacja... samolot wywiadowczy (lub też, co równie możliwe: promień działania)... rejon położenia celu... obszar ofensywnego uderzenia pierwszej kolejności — 15...” Można też odczytać to wszystko całkiem la-



konicznie: brednie!

Przed dwiema godzinami przystąpiłem do pracy z dużym zapalem. Wydawało się, że to nic trudnego! Mam potężny kieszonkowy komputer, zadanie jest rozwiązywalne, więc je rozwiążę. Raz, dwa i po wszystkim. Domyślałem się, że od kodu binarnego należy przejść do czwórkowego. Jeszcze chwila wysiłku — i radzę sobie z głównym punktem trudności: doznaję olśnienia, wiem, dlaczego maczyca ma tak dziwny kształt — prostokątny z „ogonkiem”. I natychmiast — ślepy zaułek. Beznadziejnie ugrzęzłem w skrótach wojskowych.

Czasu tymczasem zostało niewiele — do Nassau raptem dwie godziny. „Stratoport” zdecydowanie niesie mnie do celu i kradnie minutę za minutą. Właśnie odrywają się od nas wahadłowce idące do Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonu, a za kilka chwil przyjmujemy stateczki z Richmondu i Norfolka.

Przeklęte skróty. Obrzydły mi straszliwie! Ostatnie pół godziny prześladowuje mnie myśl, że teraz już nigdy nie będę mówić normalnym „nieutajnionym” językiem, że we wszystkim będę się dopatrywać ukrytego znaczenia.

*„Mójzac NYW uje KBI edac ZYS ko...”*

Złota szopa nad fotelem w piątym rzędzie zaczyna się poruszać. Zapewne Olaf postanowił wstać. Ciekawe, w

której kieszeni marynarki trzyma komputer — zewnętrznej czy we-wnętrznej? To, że rozstał się gdzieś z walizką, zauważyłem już wcześniej.

Wyłączam komputer, chowam go do wewnętrznej kieszeni marynarki, odchyłam się na oparcie siedzenia i zamykam oczy. Udaję, że zamykam. Trzeba się rozluźnić i przestawić z szyfrogramu na coś zupełnie innego...

Przypomniała mi się aukcja w Reykjavíku — pierwsza wyprzedaż sprzętu wojskowego, na której byłem obecny. Było to zaledwie trzy dni temu, a pamięć ulokowała już to zdarzenie w odległej przeszłości. Poplątały mi się strefy czasowe, nieustannie chciało mi się spać i tylko końskie dawki kawy, której nie lubię — wolę mocną herbatę — utrzymywały mnie na no-gach. Serce reagowało na kawę przyspieszonym rytmem, a to mi się wcale nie podobało.

Aukcja odbywała się w hotelu „Borg”. Ludzi było mało: około dwudziestu przedstawicieli resortów wojskowych z Ameryki Północnej i Europy, mniej więcej tyle samo oficjalnych nabywców, reprezentujących organizacje międzynarodowe, i około pięćdziesięciu ekspertów Komitetu Rozbrojeniowego, wśród których znalazłem się i ja. Ku memu zaskoczeniu prasa reprezentowana była bardzo skromnie. Zresztą, co tu się dziwić? Aukcja tylko dla mnie była nowością, a cały ten system w ogóle stworzony został już dawno. Pierwsze targi gromadziły rze-

czywiście ogromne tłumy wideoreporterów i dziennikarzy. Teraz zaś wyprzedaże sprzętu wojskowego toczyły się utartą koleiną i nie wróżyły żadnych niespodzianek.

Targi w Reykjaviku różniły się od wszystkich poprzednich. Po raz pierwszy przedmiotem licytacji była atomowa podwodna łódź raketowa systemu „Trident”. Zabiegało o nią trzech nabywców: Międzynarodowe Centrum Wykorzystania Oceanów (firma solidna, byłem w ich głównej siedzibie we francuskim mieście Saint-Nazaire), Międzynarodowy Instytut Stosowanej Analizy Systemów (nie mam pojęcia, po co im łódź, przecież Laxenburg, gdzie mieści się ta placówka, to arcyładowe miasteczko, satelita Wiednia) oraz Międzynarodowa Komisja do spraw Nowych i Odnawianych Źródeł Energii z siedzibą w Dar-es-Salaam. Sprzedawca łodzi, marynarka wojenna USA, zażądała astronomicznej ceny, co najmniej dwa razy wyższej od rzeczywistej wartości (łódź bez uzbrojenia — rakiety „Trident-2” oferowane są na odrębnej aukcji). Licytacja toczyła się ospale i marzyłem, żeby się wreszcie skończyła.

Właściwością aukcji tego rodzaju jest fakt, że umowy kupna-sprzedaży są utrzymywane w tajemnicy. Znają je tylko sprzedawca i nabywca. Wyjątek czyni się wyłącznie dla wąskiego kręgu ekspertów KOMIRO — Komitetu Rozbrojeniowego. Przedstawiciele prasy nie są do tych informacji dopuszczani. Światowa prasa, telewizja i radio

wiedzą tylko, że taki a taki obiekt został sprzedany, instytucje wojskowe nie są już w jego posiadaniu i że dysponuje nim Wspólnota Narodów. Dokąd zaś trafił, do którego komitetu, ośrodka, komisji względnie instytutu — pozostaje tajemnicą. Wiele jest jeszcze sił na świecie, które przeciwdziałają rozbrowieniu; kierunków przemieszczenia sprzętu wojskowego, nawet tego z wyrwanymi kłami, nie powinien więc znać każdy, kto tego zapragnie.

Nawiasem mówiąc, jestem ekspertem Wydziału Bezpieczeństwa KOMIRO. Moim zadaniem jest zapobieganie ujawnieniu spraw tajnych.

Należało się spodziewać, że sprzedaż łodzi podwodnej potrwa kilka tygodni, natomiast pozostały program licytacji zakończył się niezwykle szybko, dosłownie w ciągu jednego dnia. MAGATE — w osobie senegalskiego przedstawiciela — stosunkowo tanio zakupiło neutronowe nadzienie trzydziestu antyrakiet „Sprint” systemu „Safeguard”. A Międzynarodowy Zarząd do spraw Energii Słonecznej nabył dziesięć bombowców B-52G. Miano je przerzucić ze stanu Nowy Jork na wyspę Świętej Heleny. Tam właśnie, w pobliżu Jamestown, utworzony został specjalny ośrodek przemysłowy, w którym dokonuje się wymiany wyposażenia samolotów lotnictwa strategicznego i przystosowuje je do pokojowego wykorzystania. Wreszcie lożańska filia JUTAC — Międzynarodowej Unii Chemii Teoretycznej i Stosowanej — aż zgroza

chwyta! — stała się posiadaczem dwóch milionów litrów sarinu oraz VX; ten właśnie zapas amerykańskich bojowych środków chemicznych zmagazynowano w zachodnoniemieckim mieście Fischbach. Nie wiem, jak Lozana zamierza radzić sobie z tymi gazami, paraliżującymi układ nerwowy, coś tam jednak musieli wymyślić. Istnieje zapewne jakiś sposób przekształcenia ich w związki nietrujące i zużytkowania w jakiejś syntezie. Nie będzie przecież JUTAC wyrzucać pieniędzy w błoto.

Transakcje te zostały szybko zawarte, ja zaś dopilnowałem rygorów tajności i już wieczorem mogłem wsiąść do wahadłowca Reykjavik — „Stratoport”. Następnym punktem mojego rozkładu był Halifax, koniec zaś podróży przewidywałem na Wyspach Bahama.

Ludzie, których widziałem w Reykjaviku, pozostali by jedynie kalejdoskopem twarzy, gdyby nie Olaf. Jego twarz o grubych wręcz nalanych rysach — gdyby nie ruchliwa mimika, jak u dobrego aktora — wyróżniała się z tłą. Gdzieś tam pod czaszką zadzwonił mi sygnał alarmowy i cały łańcuch pytań zatrzęsął się w zamknięty krąg, z którego już drugi dzień poszukuję wyjścia.

Co robi tutaj Olaf? Kogo reprezentuje? O co mu chodzi? O aukcję? Skoro tak, to o jaką transakcję? A może chodzi mu o kogoś z obecnych tutaj? Więc o kogo, czy o kogoś ze sprzedawców, czy z nabywców? Może interesują go eksperci? Ja, na przykład? Czy jest możliwe, że mu

polecono śledzić mnie? Jeśli zaś spotkaliśmy się przypadkowo, to czy mnie poznał? Jeśli tak, to źle. Ponieważ jest, tutaj z całą pewnością w misji specjalnej, a mojej roli musi się domyślać, to postara się zapewne wyłączyć mnie z gry. Ale gdzie i jak?

Chociaż możliwe, że wcale mnie nie zauważył... Bądź co bądź, od czasu naszej znajomości minęło osiemnaście lat. Nie, łudzić się, że zapomniał, to naiwność. W ciągu pięciu lat mojej pracy w KOMIRO Olaf niejednokrotnie przewijał się w materiałach operacyjnych. A jakże — Olaf Olsen, niezależny dziennikarz szwedzki, autor sensacyjnych publikacji dotyczących głośnych skażeń środowiska i trujących wyrzutów do atmosfery (to dla szerokiej publiczności). A przy tym — doświadczony oficer CIA, zawodowiec wysokiej klasy, wybitny znawca broni laserowej (to wyłącznie dla wtajemniczonych). O tym jednak, że Olsen ma być na aukcji w Reykjavíku, nie wiedziałem. Być może, ja też przewijam się w materiałach operacyjnych, z którymi zapoznaje się speców w jego firmie? I mój przyjazd do Islandii także przeoczyli?

W każdym razie z twarzy Olafa nic nie wyczytam. Za żadne skarby nie powinienem go „poznać” pierwszy. Cokolwiek by się zdarzyło. Dopóki nie zrozumie, po co przyleciał do Islandii.

Olafa poznałem w Jugosławii w 1978 roku. Pracowałem wówczas jako rzeczoznawca-toksykolog i zostałem

oddelegowany na sympozjum ekspertów sądowych. Obradowało ono w cudownej okolicy, zwanej Makarską Rivierą.

Trzy dni mieszkaliśmy w komfortowym hotelu w miasteczku Tucepi, dyskutowaliśmy o naszych sprawach zawodowych i delektowaliśmy się widokami Adriatyku. Pogoda nie była zresztą ładna. Od nabrzeżnych gór wiał rzadki o tej porze roku chłodny wiatr bora, woda w morzu była lodowata i tylko nieliczni odważni ryzykowali zdrowie zażywając kąpeli. Na dobitkę chmury krążyły nad nieprawdopodobnie zielonym, malachitowym morzem i regularne deszcze spadały dokładnie na uzdrowiska. Nocą walały w morze pioruny i drżała ziemia. Rok był sejsmicznie aktywny.

Trzeciego dnia ruszyłem piechotą do Makarskiej. Wówczas właśnie dogonił mnie szwedzki dziennikarz, którego ogromny wzrost i wyjątkową siłę zauważyłem już na otwarciu sympozjum. Widywaliśmy się później na posiedzeniach, ale zawrzeć z nim znajomości nie zdołałem.

Olaf Olsen — tak się przedstawił — też wybrał się do Makarskiej. Z wyglądu był moim rówieśnikiem, miał 28 — 30 lat, nie więcej. Jego angielszczyzna, ściślej — amerykańszczyzna, była bardzo poprawna, z tą domieszką uchybień, która odróżnia człowieka mówiącego w języku ojczystym od zdolnego do języków cudzoziemca.

W Makarskiej zwiedziliśmy muzeum fauny morskiej,

kupiliśmy zasuszone jeżowce i rozgwiezdy, tkwiliśmy później na molo i długo zzymaliśmy się na tęczowe plamy ropy, widoczne w akwenie niewielkiego portu. Do Tucepi powróciliśmy już jako dobrzy znajomi. Całą niemal noc spędziliśmy w pokoju, który Olaf zajmował wraz z żoną Mertą. Opowiadał mi, jakie kolosalne wrażenie wywarł w Szwecji jego artykuł o wyrzucie dwuhydroksynu do atmosfery podczas wybuchu w zakładach „Philips-Dufard” w Amsterdamie w 1963 roku. Artykuł ukazał się drukiem wiele lat po katastrofie, ale młody Olsen miał świetne pióro. Pisał później o tragedii Seveso, o wycieku gazu paralizującego układ nerwowy na poligonie Dagua w Górach Skalistych... Ten szwedzki dziennikarz był wcale sympatyczny.

Wiele lat później, gdy już przeszedłem do innej pracy, dowiedziałem się, że Olaf Olsen jest takim Szwedem, jak ja Chińczykiem. W rzeczywistości nazywał się Terry Leyton. Natomiast delikatna, efektowna dziewczyna o czystych oczach, która towarzyszyła mu w podróżach, była rzeczywiście Szwedką. Podróżowała pod własnym nazwiskiem i nie łączyły jej z Olsenem żadne więzy małżeńskie. Merta Edलगren była od nas cztery lata starsza, jej staż zaś w CIA już wtedy wynosił dziesięć lat.

Owej nocy w hotelu w Tucepi Olsen opowiadał mi — radzieckiemu ekspertowi — o antyhumanitarnej produkcji środków trujących w USA i krajach NATO, o bar-



barzyństwie i cynizmie broni chemicznej. Współczesne środki chemiczne są bezwonne i bezbarwne, mówił, mogą „niepostrzeżenie” uśmiercić miliony ludzi, stawiając glob ziemski na krawędzi katastrofy ekologicznej. A dwa tygodnie przed sympozjum (o tym również dowiedziałem się znacznie później) Terry Leyton, specjalista z zakresu broni laserowej, był na tajnej naradzie w Livermore w pobliżu San Francisco, gdzie dyskutowano o pierwszych poczynaniach w realizacji programu „Escaliboor” — stworzenia kosmicznych laserów rentgenowskich, zdolnych do zaatakowania Związku Radzieckiego.

Do dziś dnia nie wiem, po co Olaf Olsen przyjechał owej wiosny do Jugosławii. Najprawdopodobniej bez zadań specjalnych, po prostu trafiła mu się okazja wypożyczenia nad Adriatykiem jako rzekomemu dziennikarzowi szwedzkiemu.

Pięć lat później znalazłem się w Wietnamie na międzynarodowym sympozjum badań nad oddziaływaniem substancji toksycznych na organizm człowieka i na środowisko. Było to w Ho Szi Minie, w styczniu osiemnastego trzeciego. Na ulicy Vo Van Tan otwarto wystawę. Oglądałem wyrzutniki granatów, kasetowe bomby chemiczne, przystosowane do rozrzutu substancji trujących, samobieżne wozy opancerzone, na których zamontowano urządzenia rozpylające. W salach rozwieszono fotografie: okaleczeni ludzie, zniszczone lasy, straszliwie poraniona

ziemia...

Wniosek, do którego doszli na sympozjum najwybitniejsi specjaliści, pamiętam dosłownie: „Operacja «Wrench Hand» była w rzeczywistości wojną chemiczną, w której toku herbicydy wykorzystano na ogromną skalę zarówno w przestrzeni, jak i w czasie; była pierwszym zmasowanym ich użyciem w dziejach wojen”.

Później byłem w hotelu „Tudu”. W jasnych salach leżały dzieci, pozbawione przez wojnę możliwości chodzenia do szkoły, zabaw z rówieśnikami, poznawania świata. Dzieci te nie zetknęły się z wojną. Wojskowi, mieszkający na innej półkuli, badali na ich rodzicach oddziaływanie środków chemicznych o barwnych nazwach: „pomarańczowy”, „biały”, „błękitny”... Za tymi niewinnymi nazwami kryły się długotrwałe, niezwykle toksyczne substancje: 2,4-D oraz 2,4-5-T, pikloran oraz kwas kadylowy.

Wyszedłem na galerię, która biegła na wysokości pierwszego piętra tego szpitala i oparty o rzeźbioną barierkę bezmyślnie spoglądałem na podwórze. Wtem zakolało mi serce. Szedł tamtędy dwumetrowego wzrostu mężczyzna ze złotą, bujną czupryną. Olaf! Co on tu robi?

Zasięgnąłem informacji. Jego także interesowały skutki zastosowania substancji trujących. Pod pewnymi względami działanie broni chemicznej i laserowej jest zbieżne... Ekspert Terry Leyton badał doświadczenie ko-

legów.

Zrobiłem, co mogłem, by się z nim nie zetknąć. Na ulicach Ho Szi Minu i w sali posiedzeń nie spotkaliśmy się. Jak sądzę, Olsen nie dowiedział się o moim pobycie w Wietnamie. Chociaż, gdy się ma do czynienia z zawodowcem, nigdy nie można mieć w tych sprawach całkowitej pewności.

Minęło trzynaście lat od tego spotkania. Mamy dziś obaj po czterdzieści sześć lat. Olaf wcale się nie zmienił. Pozostał takim samym przystojnym mężczyzną, siłaczem i wielkoludem. Bardzo niebezpiecznym. Śmiertelnie niebezpiecznym...

Nawiasem mówiąc, ja też nie zmarnowałem tych lat — zdobyłem wiele doświadczenia.

Gdy w ONZ zaczęto tworzyć sieć komisji narodowych, mających przygotować powołanie Międzynarodowego Komitetu Rozbrojeniowego, natychmiast poprosiłem o skierowanie mnie tam. Zdumiewająco szybko uporano się z formalnościami i pod koniec 1989 roku wręczono mi legitymację eksperta bezpieczeństwa Radzieckiej Komisji Przygotowawczej. Dla-czego właśnie bezpieczeństwa, a nie toksykologii? Otóż dlatego, że bezpieczeństwo zakłada umiejętność unieszkodliwiania nie tylko agentów wrogiego wywiadu, ale też środków wybuchowych i chemicznych... Chemików, zwłaszcza toksykologów, w wydziale bezpieczeństwa wręcz rozchwytywa-

no.

Po dwóch latach zatwierdzono wreszcie status Komitetu Rozbrojeniowego, no i... Od tej pory nie znam ani urlopów, ani świąt. Dni uciekały ze zwariowaną szybkością, jakby ktoś wsadził mnie do szklanej wirówki. Dzieśiatki, setki spotkań, narad, kolegów — na różnych szczeblach, w różnych strefach klimatycznych i czasowych. Nie było dnia, by KOMIRO nie napotkał czynnego przeciwdziałania ze strony tych wszystkich, którzy na samo słowo „rozbrojenie” zaciskali szczęki.

Idea aukcji narodziła się szybko. To pociągnięcie nie wywołało sprzeciwów: skoro w uzbrojenie wpakowano kolosalne pieniądze, czemu by ich nie odzyskać chociażby częściowo? Pod warunkiem wszakże, że zakupiony sprzęt wojskowy służyć będzie pokojowym celom. Pertraktacje rozbrojeniowe przedstawiano na tory gospodarcze i była to bodajże ta właśnie płaszczyzna, na której mogły się porozumieć państwa o różnych ustrojach społeczno-politycznych. Na początku lat 90-tych największą popularnością wśród agend ONZ cieszyła się ORERO — Organizacja Ekonomiki Rozbrojeniowej. Istniała ona tylko trzy lata, dokonała jednakże ogromnego dzieła: uruchomiła mechanizmy aukcji.

Kto ma prawo zakupić sprzęt wojskowy? Wyłącznie międzynarodowa organizacja o charakterze pokojowym, działająca pod kontrolą KOMIRO. Z jakich środków mo-

że ona finansować zakupy dawnego uzbrojenia? Tylko z międzynarodowych... Ano właśnie, Stany Zjednoczone wykryły ten słaby punkt systemu i postarały się o przejęcie kontroli nad działalnością ORERO.

Nabywcy mieli otrzymywać roczne subwencje od wszystkich krajów świata. Wydawałoby się, że najrozsądniejszą decyzją byłby proporcjonalny wkład wszystkich narodów. Jednakże sekretarz stanu USA wniósł propozycję parytetowego wkładu wszystkich mocarstw i sprawa od razu znalazła się w ślepym zaułku. Dwa lata waliliśmy w ten mur, dopóki go nie przebiliśmy. Amerykanie ze zgrzytaniem zębów zgodzili się na radziecką propozycję w sprawie „kwot pokojowych”. Wszystko zmierzało ku temu, by każdy kraj wniósł rocznie na fundusz międzynarodowych organizacji o charakterze pokojowym — właśnie tych nabywców — cztery procent GPK, globalnej produkcji krajowej. Bach, znów zaporą! Amerykanie obliczają GPK inaczej niż my i w całkowicie jasnej, zdawałoby się, kwestii kwot pojawia się błędne koło. Na trzy lata jeszcze wciąga nas grzęzawisko polityczno-ekonomicznej biurokracji.

Pokonaliśmy i tę barierę. W całym świecie odbywają się aukcje. Państwa po trochu uwalniają się od zbrojeń, międzynarodowe zaś organizacje naukowe otrzymują technikę elektroniczną o wysokiej precyzji, surowce chemiczne, urządzenia laserowe, środki transportu, sprzęt

łączości i urządzenia lokacyjne, pierwiastki rozszczepialne — i tak dalej.

Znów rzuciłem okiem na monitor komputera: habla mood rat APOTER O. Do diabła!

Oderwałem wzrok od ekranu i spojrzałem przed siebie. Głowy Olafa nie widać. Poru-szyłem się niecierpliwie, jak człowiek, który długo drzemał w niewygodnej pozycji, wstałem, masowałem chwilę niby ścierpniętą szyję, pokręciłem głową. Olafa nigdzie nie widać.

Na ułamek sekundy zatrzymałem wzrok na Włodku Falejewie, który siedział w jedenastym rzędzie. Włodek spod przymkniętych powiek patrzył na mnie. Przecząco pokręciłem głową — całkiem nieznacznie, to nie był nawet ruch, tylko drgnienie — ledwo, ledwo poru-szyłem ramionami. Włodek powinien zrozumieć: zadanko nie daje się rozwiązać, nowości o Olafie brak, informacje naszych kanadyjskich łączników o tym, że rygory tajności aukcji są naruszane, jak dotąd się nie potwierdziły.

Z Włodkiem porozumiewamy się niemal telepatycznie. Znamy się z lat uniwersyteckich, od pierwszego roku studiów. Później nasze drogi rozeszły się: Falejewa zaproszono do Światowej Organizacji Zdrowia, której poświęcił dwadzieścia lat życia. Przebywał za granicą po dwa, trzy lata, traciłem go z oczu, ale później spotykaliśmy się niezmiennie i nasza przyjaźń trwała nadal.

W KOMIRO Włodek, tak samo jak ja, pracuje od

samego początku. Teraz wykonujemy bynajmniej nie pierwsze wspólne zadanie. Nikt na „Stratoporcie” nie może wiedzieć, że łączy nas cokolwiek. Nie mam pojęcia, skąd Falejew przyleciał na „Stratoport”. Gdy wahadłowiec przywiózł mnie z Halifaxu na pokład stacji, Włodek już tam był. Błyskawicznie wymieniliśmy umowne znaki i każdemu zrobiło się troszeczkę lżej: Falejew dowiedział się, że mam szyfrogram i lada moment, jak się spodziewam, odcyfruję go; ja zaś dowiedziałem się, że na pokładzie nie ma „obcych”, a gdy ktoś się pojawi, Włodek zapewni mi osłonę.

Na moim wahadłowcu Olsena nie było. Ale po pół godzinie od chwili, gdy zająłem swe miejsce w lewym salonie lotni A, pojawił się w przejściu Olaf. Zapewne przyleciał z Halifaxu w stanie Massachusetts i zdążył na bostoński rejs. Natychmiast pokazałem go Włódkowi i gdy tylko Olaf usadowił się w fotelu, ponownie na ekran monitora wywołałem przekłętą matrycę:

```
01011010110110011110110101010111
10111110101101101111101110110110
11010101111011011010101111101111
01111011011011101101101111010110
01101101010101110111011110111110
11110111101111011110011010101101
11010110101101101010010110011101
```

11011111101010101101111011100110  
11111001010111011011100111101110  
01011011011110111110100101010110  
01101010111110110101010111100110  
11101101010110101101011001101101  
0101110101010110111110111111011  
10110111011111011111101101011110  
11010101010111101111101111110101  
10111011101110110111101011011011  
01101011111110101010111110011011  
10011101011011111011111011101111  
01101010111110101110111101110111  
11100111101001101010101110101011  
10111010101011111001111110111001  
11101111110110111011011110111111  
1111110111001011010110111010101  
101001

...A więc stałem obok fotela, oczyma szukałem Olafa i przeklinałem własną nieporadność w łamaniu kodu. Włodek siedział na swoim miejscu jak poprzednio, nie zmieniając pozy, ale w jego wyglądzie było coś nowego. Pochylenie głowy to samo, oczy jak przedtem pół-przymknięte, szyja swobodna. Ręką na oparciu! Środkowy i wskazujący palce są skrzyżowane, a to oznacza niebezpieczeństwo.



Obróciłem się celowo niezdarnie, całym ciałem. Nad fotelem w piątym rzędzie znów jaśniała złota czupryna. Gdzie znikł przedtem Olaf? I jak znikł? Co robił w tym czasie? Nie mógł się zapaść głębiej w fotelu, wiedział bowiem, że obudzi tym samym moją czujność. Więc bardzo potrzebował zniknąć, a potem się zjawić jak gdyby nigdy nic. Czy mógł nachylić się po jakiś drobiazg, który spadł, obrócić się skulony nad podłogą i obserwować mnie w prześwicie między fotelami? Oczywiście, mógł. Ale po co mu to? Żeby ustalić mego partnera? Ale do tego trzeba wiedzieć, że mam tego partnera.

No dobra. Skoro wstałem, to muszę coś zrobić. Na przykład rozprostować nogi. Z niefrasobliwą miną skierowałem się ku wyjściu z salonu. Chwila samotności. Mały spacer na pokładzie „Stratoportu”. Stacje te są tak ogromne, że wcześniej czy później człowiek znajdzie zakątek, w którym nie był jeszcze ani razu.

„Stratoporty” pojawiły się w powietrzu mniej więcej przed czterema laty. Ileż było dyskusji nad takim drobiazgiem, jak sama nazwa tych olbrzymów! Projekty były międzynarodowe i spór językowy przybrał charakter globalny. Właściwie co to takiego „Stratoport”? Ogromna superlotnia, która krąży bez lądowania po zamkniętej orbicie, biegnącej nad stolicami i dużymi miastami.

„Stratoporty” wykorzystują pięć takich orbit. Bywałem na trzech z nich: na północno-atlantyckiej (znajduję

się właśnie na niej), na indyjskiej oceanicznej oraz na północno-zachodniej. Na południowych orbitach nie latałem. Zresztą, „Stratoporty” są takie same na wszystkich orbitach. Każdy z nich to cztery samodzielne lotnie, oznaczone literami A, B, C i D, osiem par superpotężnych silników i cztery doki, służące do cumowania wahadłowców, które przywożą pasażerów, ładunki i paliwo. Sam „Stratoport” nie może lądować: jest zbyt wielki i ciężki. Może tylko osiąść na wodzie, i to też nie bez ryzyka. Ale w razie konieczności stacja może rozpaść się na cztery części i wówczas każda lotnia zachowuje się jak bardzo ciężki, ale w pełni sterowany samolot. Lotnia ma trzy salony: lewy i prawy po 132 pasażerów oraz centralny — 96; czyli że łącznie „Stratoport” mieści 1440 pasażerów. Ale, prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem wypełnionej stacji.

Po co obarczam pamięć wszystkimi tymi szczegółami? W każdej chwili można przecież nacisnąć guzik w oparciu i uprzejmy baryton w słuchawkach poinformuje o wszystkim, co niezbędne. Można, wreszcie, wezwać stewardesę i ta osobiście opowie to samo. Ale taki już mam fach. Muszę wiedzieć wszystko, co dotyczy pojazdów, którymi podróżuję.

Stałem chwilę na galeryjce nad cumowiskiem mojej lotni i przyglądałem się z zainteresowaniem, jak przybijał wahadłowiec z Richmondu (na co wskazywał numer na

kadłubie). Jego część dziobowa precyzyjnie zagłębiła się w stożkowate cumowisko, zadziałał zaczep próżniowy, pilot rozwarł drążki cumownicze, trafiły one w miękkie kleszcze węzła cumowniczego, ku lukom przybyłego wahadłowca podciągnięto nadmuchiwane rękawy-śluzy. Pięć minut na opuszczenie pojazdu, pięć na przyjęcie nowych pasażerów. W tym czasie wahadłowiec oddala się o sto czterdzieści kilometrów od punktu przestrzeni, w którym spotkał się ze „Stratoporem”.

Na galeryjce nie było już nic ciekawego, udałem się więc do salonów. Ludzie chętnie podróżują, można spotkać się z kimś ze znajomych.

Spacer zacząłem od najdalszego końca stacji. We wszystkich salonach lotni D ani jednej znajomej twarzy... Lotnia C także czysta. Lotnia B... Zbliżałem się już ku wyjściu na stronie rufowej lewego salonu, gdy wtem czyjeś szybkie spojrzenie niemal mnie zastopowało. Zwalniając nieco tempo spaceru objąłem wzrokiem trzy miejsca na prawo od przejścia.

Zgrabna sylwetka kobiety. Modne krośniakowe spodnie (z trudem tylko można odnieść tę nazwę do niekształtnego ubioru), zamszowe wdzianko z wypchanymi ramionami, lniane włosy przewiązane tasiemką. Pasażerka wygląda na trzydzieści pięć — czterdzieści lat. Bezmyślnie wpatruje się w imitator. Mój Boże, delikatna dziewczyna o czystych oczach! Merta... „Żona” Olsena,

wciąż taka sama jak w odległym już siedemdziesiątym ósmym roku, może tylko cokolwiek wydołała, taka niezależna, wieczna studentka. A przecież Merta kończy w tym roku dokładnie pięćdziesiąt lat. Co potrafi medycyna...

Podsumujmy więc. Na „Stratoporcie”, którego trasa łączy miasta aukcji, spotykają się — oczywiście, przypadkowo — dwaj eksperci bezpieczeństwa z KOMIRO i dwie grube ryby z CIA. Lub nawet więcej. To ja osobiście znam dwie, a ile ich jest w rzeczywistości?

Dobrze, pomyślmy na razie o tych, które znam. Na kogo polują? Na mnie, na Włodka, a może na kogoś z nabywców? Dowiemy się, jak przyjdzie czas. Teraz zadanie numer jeden to kryptogram. Odpocząłem, czas wrócić do rozszyfrowywania.

Wyszedłem na pomost, minąłem galeryjkę nad cumowiskiem, zwolniłem kroku i spokojnie wszedłem do mego salonu.

Pierwszy rzut oka w stronę Olafa. Jest na miejscu. Złota szopa nad oparciem fotela. Drugi — na Włodka. Bardzo dziwna poza. Dziwna dla Włodka. „Stratoporciem” trzęsło, szedłem niepewnie, chwytając za oparcia foteli z lewej i prawej. To właśnie uratowało mnie od wpadki.

Dzieliły mnie od Włodka dwa kroki, gdy zrozumiałem, że nie żyje.

Serce — bach! I zaraz — bach, bach! Przerwa. Bach!

Skurcz dodatkowy! Jeszcze jeden. Teraz w oczach zrobi się ciemno i ... Ale nie. Żyję. Motor pracuje.

Tak. Włodek nie żyje! Idę dalej. Trzeba iść, jak gdyby nigdy nic. Ci, którzy mnie śledzą, a jestem śledzony, i nie tylko przez Olafa — nie mogą dowiedzieć się o moim związku z Włodkiem. Nawet jeśli o nim wiedzą, nie wolno mi go ujawnić.

Więc to tak. Pasażer zajmujący miejsce 11-D po prostu śpi. A inny pasażer zmierza spokojnie do swego miejsca 9 B. Trochę się zatacza. To dlatego, że „Stratoporem” trzęsie. Nic się nie stało. Jedynie ten w fotelu wcale nie śpi, zamordowano go.

Skąd o tym wiem? Włodek wcale nie zareagował na moje zbliżanie się. Są też inne symptomy. Zawsze są symptomy, które pozwolą doświadczonemu oku rozpoznać śmierć. Oko mam doświadczone. Aż nadto. Widziałem wiele martwych ciał. Zbyt wiele dla normalnego człowieka. Ale kto powiedział, że jestem normalny? Czyż to jest normalne — dreptać w przejściu mijając przyjaciela, którego przed kilku minutami zamordowano?!

Puls znów załomotał. Trudno, idę. Tylko cały jestem mokry od potu — można wyżyć. Ten, który mnie śledzi, z pewnością zauważy: Szczukin mija martwego Falejewa cały spocony. Cóż zrobić? Potu nie można kontrolować, tego nie zmieni żaden trening.

Biedny mój chłopcze! Pewno nie zdążyłeś palcem ru-

szyć. Boże, Włodku, właśnie ciebie musiało to spotkać?! Raz tylko oglądałem cię w starciu bez strzelaniny — to był widok!

...Waszyngton. Szliśmy z Agencji Ochrony Środowiska do naszego hotelu, miejsca mieliśmy zarezerwowane w „Channelu”, i wtem na rogu ulicy Szóstej i Avenue Man, tuż przed „Areną”, ujrzeliśmy pięciu krzepkich chłopaków z łańcuchami i ciężarkami. Tamtejsza złota młodzież lubi taką rozrywkę: na sznurze przywiązany koło łokcia facet nosi półtorafuntowy ciężarek. Wali cię w łeb ciężarkiem i długo, bardzo długo nic nie pamiętasz. Jeżeli, oczywiście, zostaniesz przy życiu.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Włodek krzyknął: „Sasza, bierz na siebie rudego!” Prysnałem w bok, w podskoku walnąłem rudego czubkiem lewej nogi, przeniosłem ciężar na tę nogę, chcąc piętą prawej rąbnąć w zęby pobliskiego faceta i... obcasem trafiłem w pustkę. Z trudem utrzymałem się na nogach. Trójka młodych ludzi, nie licząc rudego, leżała na asfalcie, pojękując żałośnie. Ostatni z napastników tulił się w przysiadzie do słupa latarni ulicznej i bezgłośnie płakał, chwytając powietrze szeroko otwartymi ustami. Coś takiego widziałem raz tylko, i to też w kinie, na filmie Kurosawy „Rudobrody”. W taki mniej więcej sposób Toshiro Mifune jako lekarz Niige uczył moresu różne szumowiny. W filmie wszystko to trwało dłużej, Włodek zaś uporał się w ciągu trzech se-

kund. Gdzie się tego nauczył, nigdy mi nie powiedział.

— Ciekawa sztuka — Włodek z zainteresowaniem obejrzał zdobyty w walce oręż i wsunął ciężarek do kieszeni. — Wezmę na pamiątkę. A teraz wiejmy, bo pojawi się policja i zacznie się kołowrotek, nie lubię tego.

Długo jeszcze spacerowaliśmy zakamarkami M-street, nie mając odwagi iść nad kanał Waszyngtona, gdzie stał nasz hotel.

I oto Włodek nie żyje. Mijając go zauważyłem na jego szyi, z lewej strony, czerwoną kropkę i niewielki obrzęk — ślad zastrzyku zrobionego „latającą igłą”. Ktoś, kto szedł przejściem, wystrzelił z urządzenia pneumatycznego drobniutką igielkę — stożkowatą ampułkę z łatwo rozpuszczalnego tworzywa, napelnioną momentalnie działającą trucizną.

Jaką obrzydliwą mamy pracę! Trzykroć obrzydliwą. Tuż obok zamordowany przyjaciel, ty zaś zmierzasz do swego fotela, przepraszasz sąsiada (kto wie, może to właśnie morderca?), grzecznie uśmiechasz się, naciskasz guzik, mówisz stewardesie, że chcesz coś zimnego do picia, czekasz z obojętnością bębniąc palcami o oparcie, stewardesa — urocze stworzenie (może to ona zabiła?) — przynosi szklankę lodowatego soku z pomarańczy, popijasz małymi łykami, oddajesz szklankę, znów uśmiech „Dziękuję pani” — wreszcie opadasz na oparcie fotela, całym wyglądem manifestując pewność siebie i dobry na-

strój. A przy tym jesteś spocony, zlany potem.

Odczekałem minutę. Dwie. Trzy. Wszędzie spokój. Nikt na mnie nie patrzy. Ja też nie patrzę na nikogo. Spacerowałem po stacji, napiłem się soku, teraz chce mi się spać. Wolno mi? Na pewno. Zaciągam zasłonę dzielącą mnie od pasażera z prawej. Po lewej mam puste miejsce. Człowiek, który wymyślił te story w samolotach, był geniuszem. Ochrona życia prywatnego osiągnęła tu należyty poziom.

Boże, co robić? Co robić?!

Jedno tylko: znów zająć się kryptogramem. Zemstę na razie trzeba odłożyć. Będzie, będzie zemsta, ale później. Mordercę Włodka dopadnę choćby pod ziemią. Przysięgam!

Wyjąłem komputer i znów włączyłem monitor. Wywołałem z pamięci komputera matrycę kryptogramu, sądzę, że znam ją już na pamięć.

```
01011010110110011110110101010111
10111110101101101111101110110110
11010101111011011010101111101111
01111011011011101101101111010110
0110110101010111011101111011110
11110111101111011110011010101101
11010110101101101010010110011101
11011111101010101101111011100110
```



11111001010111011011100111101110  
01011011011110111110100101010110  
01101010111110110101010111100110  
11101101010110101101011001101101  
01011101010101101111101111111011  
10110111011111011111101101011110  
11010101010111101111101111110101  
10111011101110110111101011011011  
01101011111110101010111110011011  
01101011111110101010111110011011  
10011101011011111011111011101111  
01101010111110101110111101110111  
11100111101001101010101110101011  
10111010101011111001111110111001  
11101111110110111011011110111111  
1111110111001011010110111010101  
101001

Podczas spaceru po „Stratoporcie” ostatecznie doszedłem do wniosku, że poplątałem coś tam z analizą częstotliwości. Ściślej, nie ja, tylko komputer poplątał. Nie wątpiłem, że szyfr był bliski złamania. Równocześnie nie opuszczało mnie niejasne uczucie, że alfabet kodu czytać trzeba zupełnie inaczej.

Spróbujmy raz jeszcze. Analiza częstotliwości samogłosek dokonana została prawidłowo — tego byłem pe-

wien. Tutaj komputer nie mógł popełnić błędu. Ale co do spółgłosek — tam, jak to się mówi, możliwe są różne warianty. Komputer dostał nowy program — ma sprawdzić wszystkie kombinacje podstawienia spółgłosek i podać na ekranie monitora kombinację optymalną.

Nie było to skomplikowane zadanie. Po kilku sekundach miałem przed oczyma nowy zestaw głosek:

*„The canoe SEC AE tens RD  
MR SFA hag ice ni roes FA is deld  
RD Myl IRQU ire BE sn iebai goes B NV  
uran OV SRN UJ VJ tin ear a ELF X JAN  
W A SR RI ham af rm eh R”*

Co najdziwniejsze, tutaj też były słowa kluczowe, pozwalające wysnuć wniosek o... Właśnie, wniosek o prawidłowym złamaniu szyfru. Słowa te rzucały się w oczy, jakby monitor wyróżnił je kolorem.

The canoe — pierwsze słowo i już znane mi tajne określenie. Następnie określenie kodu: hag ice — „lodo-wisko wiedźm”. Ciekawe że jeśli się początek następnego wiersza od-czyta jako MRS Fahag, to sens staje się jeszcze bardziej przejrzysty: są takie pływające warsztaty (Maintenance and Repair Ship) „Fahag” pływają na Oceanie Indyjskim, a ich macierzystym portem jest Aden. Skrót IRQU budzi czujność, i to ogromną: jeżeli się nie

myślę, chodzi tu o coś związanego z amerykańską 98 dywizją piechoty, który nosi umowną nazwę „Irokez”. Wreszcie kolejne słowa: uran (nie wymaga objaśnienia) oraz tin ear. To ostatnie wyrażenie niedwuznacznie wskazuje na mnie. Tin ear — „blaszane ucho”, to żargonowe powiedzenie oznacza tyle, co „człowiek ze zniekształconą małżowiną uszną”... Rzeczywiście, moje lewe ucho, gdy nie jest zasłonięte włosami, prezentuje się niezbyt pięknie — to pamiątka po wojowniczych chłopakach, z którymi spotkałem się w Tuamasinie. Nieraz przyrzekałem sobie, że zwrócę się do kliniki kosmetycznej, ale na tym się wszystko kończyło.

Tak więc tekst znów jest pełny ukrytych aluzji i niejasnych wskazań. I na dobitkę naprowadza adresata wprost na mnie.

W pierwszym podejściu przekład (nie tylko z angielskiego, ale i z języka skrótów wojskowych) przedstawia się następująco — wystukałem tekst po rosyjsku, a monitor podał go na ekranie:

*„Grupa do spraw technicznego opracowania systemu broni «Canoe»... obecność sprzętu... natężenie... tajne informacje wywiadu morskiego... unitarna amunicja z przemiennym zapłonem... «lodowisko wiedźm»... non licet... «sarny»... artyleria połowa dostarczona... termin gotowości 12 maja... gniew «Irokeza»... Bank Angielski...*

*numer boczny iebai (95219) kieruje się do B (bazy) w NV (Północnym Wietnamie)... uran... samolot służby obserwacyjnej... satelitarny system radionawigacyjny... UJ (nie rozpoznane paliwo reaktywne)... VJ (eskadra ogólnego przeznaczenia)... «blaszane ucho» pracuje w nadzwyczajnie niskich częstotliwościach... prośba wyjątkowa o udzielenie pełnomocnictw do prowadzenia pertraktacji... zapotrzebowanie na przesyłkę ładunku fabrycznie montowanego... nasłuch radiowy... radio-operator w pokoju 58... R»*

Nie, to niemożliwe. Brednie, chociaż z przebłyskami logiki; z wtrąconym łacińskim non licet, co znaczy — nie wolno. Na dobitkę z archaizmem: Północny Wietnam. I do tego mnóstwo możliwych wersji. Na przykład wyrażenie Mrs Fahag ma trzecie znaczenie: sprawa może dotyczyć jakiegś „pani Fahag”. Jeżeli sekwencję Be SN iebai goes BNV przeczytać inaczej, otrzymamy „belgijski statek z numerem bocznym 95219 zatopić jako nieważny”. Skrótowiec ELF — „nadzwyczajnie niskie częstotliwości” — może być słowem elf, ale co mają tu do rzeczy elfy, absolutnie nie wiem. Nawiasem mówiąc po niemiecku znaczy to „jedenaście”». Ale tekst jest przecież angielski, nie ma tu wątpliwości.

Dalej: XJAN — Extra Justification for Authority to Negotiate, a więc „prośba wyjątkowa o udzielenie pełnomocnictw do prowadzenia pertraktacji...” Bzdura. Litera

X jest trzecią od końca, dwudziestą czwartą od początku. Zapewne chodzi o 24 stycznia. Cóż to ma się zdarzyć 24 stycznia? Nie wiadomo.

Wreszcie ostatnie siedem znaków: każdy ekspert, nawet gdyby zjadł wszystkie mądrości, odczyta je na co najmniej siedem różnych sposobów. Na przykład: „wiadomość o awarii aparatu latającego w stanie Man... skutki ciężkie... R” Któż to jest ten tajemniczy „R” — Robert, Richard, Rostislaw, Rogewald?

Raz jeszcze przypomniałem sobie pierwszy wariant odczytania kryptogramu: boja, technika wojenna, komitet zbrojeniowy, nuklearne środki wybuchowe, Północny Jemen, wyjście na cel, potencjał atomowy... Do tego nader ciekawego rzędu dodałem nowe interesujące słowa: systemy broni, wywiad morski, unitarna amunicja, „sarny” (to nowe oznaczenie umowne kryje ofensywne rakiety z nienuklearnymi głowicami — dalekie potomstwo supertajnej bomby BL-U 82 zwanej „Skok komandosów”, wypróbowanej jeszcze podczas wojny wietnamskiej), artyleria polowa, nie rozpoznane paliwo reaktywne, nasłuch radiowy... Wygląda na to, że terminy te kryją coś bardzo, ale to bardzo groźnego. Frontalny atak na całą działalność Komitetu Rozbrojeniowego. To w najlepszym razie. W najgorszym — wojna.

Do głowy cisnęły się myśli niezbyt pasujące do mojej skromnej roli: o odpowiedzialności, o brzemieniu obo-

wiązku, które nieoczekiwanie spada na barki jednego jedynego człowieka... Czemuż to właśnie na moje barki?

Później zaś zrobiłem co następuje. Westchnąłem głęboko i skasowałem w pamięci komputera oba warianty deszyfrazu.

Wszystko to gra przypadku. Złamany szyfr nie może mieć tyle dwuznaczności. Kod nie może być zbudowany ze skrótów, które można odczytać na piętnaście różnych sposobów. No, nie na piętnaście, niech będzie na trzy. Nawet na dwa. Dwie różne wersje wystarczą, żeby natychmiast, bez zwłoki zrezygnować z analizy szyfrowanej treści.

Tymczasem sam siebie wodziłem za nos. W ciągu pół godziny, jeżeli nie całej godziny. Zanadto zaufałem komputerowi. I straciłem czas. Kiedy czepiałem się podstępnych zbieżności, inicjatywa wymknęła mi się z rąk.

Do lądowania w Nassau pozostało całkiem niewiele czasu. Siedzę z pustymi rękoma. Włodek zabity, Olaf triumfuje, iluś tam nie znanych mi agentów pilnuje każdego mego ruchu. Merta...

Merta!

Odsuwam zasłonę, wstaję, przechodzę obok pasażera siedzącego z prawej strony, spojrzeniem notuję wyraz jego twarzy. Jeżeli to przeciwnik, to jest dobrym aktorem, ponieważ nie dał po sobie nic poznać.

Wchodzę w przejście. Muszę teraz wybrać taką trasę

przechadzki po „Stratoporcie”, by znaleźć się twarzą w twarz z Mertą. To znaczy, do przejścia w jej salonie muszą wejść od strony dziobowej. Idę wzdłuż mego salonu, z lewej strony widzę ciało Włodka, siedzi tak jak przedtem, w niezbyt naturalnej pozie, ale nie wywołuje to podejrzeń jego sąsiadów — śpi sobie człowiek, zapadł w drzemkę, jak ścierpnie mu ręka lub noga, to wstanie i się przeciągnie.

Idę dalej: korytarz rufowy, galeryjka nad cumowiskiem, pomost, znów galeryjka nad cumowiskiem — tym razem lotni B. Opodał, tam gdzie galeria nad cumowiskiem przechodzi w następny korytarz rufowy, znajduje się bar. „Stratoport” ma ich cztery — po jednym w każdej lotni. Ostrożnie rozglądając się, wchodzę do baru w lotni B, wyciągam przy tym lewą ręką uniwersalny klucz z kieszeni marynarki.

Mam szczęście, w ciasnym przedziale nie ma gości. Steward podnosi się z krzesła, odkłada na bok komputer, na którym coś tam podliczał. Lewą ręką zatrzaskuję drzwi, równocześnie wkładam do otworu uniwersalny klucz i naciskam guziczek na końcu rękojeści. Koniec: drzwi są zamknięte. Prawą ręką wychytuję zza pasa pistolet iniekcyjny, łagodny trzask i ampuła wpiją się w policzek stewarda. Machnął ręką, chcąc wyrwać igłę, ale nie zdążył: środek nasenny został wchłonięty błyskawicznie, barman pada, czepiając się palcami blatu, zrzucając kom-

puter, zrzucając shaker, zrzucając błyszczącą tacę z drobnymi... Bardzo dużo hałasu.

Steward będzie spać przez najbliższe trzy godziny. Obudzi się z bólem głowy, który, nawiasem mówiąc, szybko minie. Innych skutków zastrzyk mieć nie będzie.

Nachylam się i pod blatem znajduję to, co było celem całej tej operacji: magnetyczną tabliczkę z napisem „Przerwa”. Otwieram drzwi, wyglądam na korytarz: ani żywej duszy. Wyślizguję się na zewnątrz, zamykam drzwi i przykładam tabliczkę. Wszystko jak należy. Teraz, jeśli ktoś chce iść do baru, musi udać się do sąsiedniej lotni.

Poprzez centralny salon lotni B dostaję się do korytarza dziobowego, a stamtąd trafiam do przejścia w lewym salonie.

Z przodu po prawej — kształtna główka z lnianymi włosami, przewiązanymi tasiemką. Wciąż młoda, przystojna twarz. I znów błyskawiczne spojrzenie, jak smagnięcie batem. Tym razem oczekiwałem go. I zatrzymałem się, udając zdumienie. Jakby mocno poruszony, przyglądam włosy.

— Merta! Czyżby to pani? Merta... m... m... — Olsen?

— Merta — mówi ona z miłym uśmiechem. — Ale nie Olsen, tylko Edelgren. A pan, przepraszam...

— Oczywiście, Merta Olsen! — nie słucham odpowiedzi. — Osiemnaście lat minęło, a pani wciąż wygląda



tak samo! Nic się pani nie zmieniła. Oto co znaczy prawdziwa kobieta!

W oczach Merty maluje się „szczerze” zdziwienie.

— Kogo to ja widzę? — wykrzykuje. — Aleks... Ależ tak, rosyjski lekarz Aleks. Proszę wybaczyć, pana nazwisko wyleciało mi z pamięci, nazwiska rosyjskie są takie... język można połamać. Proszę mi wybaczyć.

Jakie pół minuty z zapalem paplamy. No bo i jakże inaczej, cieszymy się przecież z tego nieoczekiwanego spotkania, tyle lat minęło, a oto proszę, poznaliśmy się nawzajem i mamy sporo wspomnień...

— Pan się bardzo zmienił, panie Aleks. Przybyło panu krzepy, jest pan teraz taki masywny. I mięśnie, i postura. Wówczas w Jugosławii był pan dość wątłym młodzieńcem, skorym do uśmiechów i ze skłonnością do idealizowania.

— Skądże, pani przesadza. Pełen złudzeń — to byłoby chyba bliższe prawdy. W młodości wszyscy żyjemy złudzeniami. Tak, tak, owego majowego sympozjum nie da się zapomnieć. Adriatyk, bora, trzęsienie ziemi... Jakie to wszystko było romantyczne!

— Aleks, pan jest tak samo sentymentalny jak wówczas. A powiada pan, że wyzbył się młodzieńczych złudzeń.

— Ale, ale, czy musimy rozmawiać tutaj? Chodźmy do baru. Wprawdzie w naszej części, o ile wiem, bar jest

zamknięty, ale w lotni C powinien być otwarty. Kawa na „Strato-porcie” jest doskonała.

— Spotkanie możemy oblać czymś mocniejszym niż kawa.

Merta wstając z miejsca uśmiecha się czarująco.

Wychodzimy do korytarza rufowego. Mijamy gale-ryjkę nad cumowiskiem, zbliżamy się do drzwi baru.

— Rzeczywiście, zamknięty — mówi Merta, zabarwiając to krótkie zdanie całą gamą intonacji: jest tu i szczerze zdziwienie, i figlarne powątpiewanie w to, co powiedziałem przed chwilą, i pewien szacunek do kogoś, kto niekiedy, jak się okazuje, mówi prawdę. — Może to pomyłka?

Merta szarpie klamkę, ale drzwi nie ustępują. Uniwersalny klucz można zwalczyć tylko uniwersalnym kluczem. Na „Stratoporcie” ma go kapitan, pierwsi piloci i główny steward. No i ja. Obcy człowiek nie zdoła praktycznie wnieść takiego klucza na pokład: do uchwytu wmontowany jest nadajniczek, na którego sygnał system kontroli przed lotem reaguje przenikliwym wyciem.

— Pewnie coś im wysiadło — mówię dziarsko i nie przestaję nalegać: — Bar w lotni C wcale nie jest gorszy!

Idziemy więc dalej. Tuż przed nami pomost śluzowy, który łączy rufowe korytarze lotni B i C.

Otwieram drzwi śluzy, przepuszczam przed sobą Mertę, zatrzaszukuję drzwi, natychmiast zamykam uniwer-

salnym kluczem, całkiem nie po dżentelmeńsku odpycham Mertę, doskakuję do następnych drzwi i tymże kluczem unieruchamiam zamknięcie. Odwracam się. No i... spada na mnie seria dotkliwych ciosów, które z trudem udaje mi się odparować: w pachwinę, w splot słoneczny i w grdykę. Jeszcze dwa uderzenia — w okostną piszczeli i w górną szczękę. Rękę Merty chwytam, ale kant jej pantofelka wchodzi w przykry kontakt z moją golenią. Boli!

Teraz mój atak. Niezbyt silny, lecz celny. Taki, by Mercie potrzebna była minuta na przyjście do siebie. Broni się słabo. A może to już wiek daje znać o sobie?

Po kilku sekundach Merta leży na podłodze. Ręce ma związane moim paskiem. Stoję przywarłszy plecami do ściany śluzu — pomieszczenia w kształcie cylindra o średnicy niewiele ponad wzrost człowieka, w którym jedne hermetyczne drzwi z tworzywa pancernego dzieli od drugich zaledwie półtora metra.

Na wszelki wypadek rewiduję Mertę, ale bronie, tak jak myślałem, nie ma.

— Rad jestem, że nie musimy wdawać się w długie wyjaśnienia — mówię. — Wiesz doskonale, kim jestem, ja także wiem wszystko o tobie. Nie uda ci się mnie przechytrzyć. Jedyne, czego żądam, to klucza od szyfru, którym Olaf nadał z Halifaxu. I w ogóle — zasady szyfru, opartego na zapisie czwórkowym. Jak widzisz, wiem sporo.

Merta unosi głowę, potrząsa nią i siada na podłodze, opierając się o drzwi, wiodące do lotni C. W jej oczach zapalają się lodowate błyski nienawiści. Strużka śliny spływa po szyi — smutny to i brzydki widok.

— Jak widzisz, zagrałem *va banque* — mówię dalej. — Teraz ani ty, ani ja nie mamy nic do stracenia. Jeżeli ujawnisz tajemnicę klucza, wychodzimy stąd i rozstajemy się na zawsze. Naturalnie, nasze firmy nie wybaczą nam tego obustronnego ujawnienia się. Ale to sprawa podrzędna. Oczywiście, tylko w tym wypadku, jeżeli zaszyfrowana wiadomość Olafa warta jest uwagi. Nie próbuj tylko milczeć albo udawać, że nie wiesz, o jaki klucz chodzi, bo będziemy siedzieć tutaj dopóty, dopóki załoga nie zauważy, że śluza jest zablokowana. Postaram się, żeby to zauważono jak najszybciej: wówczas lotnie A i D odlecą, dwie nasze wylądują awaryjnie na pierwszym lotnisku, które się do tego nada, nas zaś kontrolerzy ONZ zatrzymają jako dwoje nie zidentyfikowanych agentów, bezprawnie posługujących się uniwersalnym kluczem.

— Dureń — syczy Merta... po rosyjsku. Nie ma w tym nic dziwnego. Jeśli ja swobodnie władam trzema językami, czemuż Merta — szpieg wysokiej klasy — nie może znać rosyjskiego? — Po co mi prawisz te banialuki! Doskonale wiem, że jesteś agentem KOMIRO i kontroler ONZ to dla ciebie pestka. Klucz uniwersalny masz legalnie. Czy ty się łudzisz, że osiągniesz cokolwiek? Zrobię

wszystko, żeby właśnie ciebie zatrzymano jako agenta, ale nie agenta KOMIRO, to nic złego, lecz jako szpiega radzieckiego, który nie powinien bywać na aukcjach. Co do mnie... Jakiż ze mnie agent? Jestem po prostu ofiarą. Dziki czerwony szpieg gwałci w służbie „Stratoportu” starszą Szwedkę — niczego sobie tytułik w gazecie, co?

— Tak łatwo się nie wykręcisz — grozę.

— Niby dlaczego? Na kluczu są twoje odciski palców, a ja nie mam z tym nic wspólnego. Broni nie mam, nie mam w ogóle nic kompromitującego. A z ciebie, jeśli dobrze potrząsnąć, licho wie, co się posypie.

— Myślisz, że twoi szefowie darują ci, że tak głupio wpadłaś z Rosjaninem?

— Oczywiście, że nie! Najpewniej już teraz głowią się nad tym, jak rozerwać „Stratoport” między lotniami B i C, i uwolnić się od nas obojga. Polecimy jak ptaki! Jeszcze w locie postaram się przegryźć ci gardło. Na oceanie nie mogę polegać. A nuż wy, Rosjanie, potraficie spaść z wysokości dwudziestu kilometrów do wody i nie zabić się?

Przyznam się, że od tych słów, a raczej od tonu, z jakim zostały powiedziane, zrobiło mi się zimno.

— Już widzę ten lot, ostatni lot w naszym życiu! — W głosie Merty pojawiły się nutki hysterii. — Czuję na moich wargach smak twojej krwi, czuję, jak ty...

Merta milknie gwałtownie. Głowa jej opada na pierś,

Szwedka wali się na bok i głucho uderza czołem o podłogę. Pochylam się nad nią. Cóż to — omdlenie? Zapaść? Czy też być może zgon?

Chwytam rękę Merty, szukam pulsu. Ani jednego uderzenia. Pulsu nie mogę wyczuć. Nerwowo wyciągam komputer, wprowadzam komendę „anamneza”, wysuwam czujnik diagnosteru i przykładam do szyi leżącej kobiety. Na ekranie pojawia się łańcuch cyfr. Puls, ciśnienie, oddech — same zera. Tylko temperatura ciała — 36,3 mać tę monotonię. A więc — zgon. Serce nie bije, Mertę jakby wyłączono.

Pośredni masaż serca — tylko to może Szwedkę wyciągnąć z tamtego świata. Gwałtownie drę wdzianko od kołnierza w dół, zapięcie pryska na boki. Pod wdziankiem bluzka. Tym samym barbarzyńskim szarpnięciem rozdieram bluzkę. Dłonie układam z lewej strony mostka i zaczynam miarowo ciskać. Wdech, raz dwa, trzy, cztery... Wydech — usta-usta. Wdech — raz, dwa, trzy cztery... Wydech — usta-usta. Wdech — raz, dwa, trzy, cztery... Wydech — usta-usta. Ależ to ciężka robota, ten pośredni masaż serca z równoczesnym sztucznym oddychaniem! Do tego ciasnota, jak diabli. I ani żywej duszy do pomocy. Nie mam zresztą prawa wzywać pomocy.

Mijają chyba trzy minuty. Jestem cały mokry. Pobudzić serca Merty nie udaje się.

Naciskam automatycznie. Ręce poruszają się jak tłok,

a w głowie chaos, tylko chaos. Dawno pojąłem, w jaką wpadłem pułapkę. Ktoś odczekał, aż będziemy z Mertą sami, potem zlikwidował Szwedkę — chociaż to doświadczony agent, profesjonalista, ale w tej chwili jej karta nie brała. A ja znalazłem się w pułapce: jestem zamknięty w śluzie, przede mną półnaga, martwa kobieta w podartej odzieży, drzwi zaraz się otworzą, wejdzie główny steward (to by nie było najgorsze, stewardzi na „Stratorporcie” nie są uzbrojeni) lub ktoś z pilotów (kaliber 7.62 — a to już gorzej) i albo mnie zabiją przy próbie ucieczki, albo brutalniewiążą i oskarżają o bestialski gwałt ze śmiertelnym finałem. Trzeba być kompletnym idiotą, żeby uwikłać się w taką historię.

Domyślałem się nawet, w jaki sposób zlikwidowano Mertę. Miałem już okazję słyszeć o pistoletach mikrofalowych — kieszonkowych mazerach, ale nie przyszło mi do głowy, że kiedykolwiek zetknę się z tą bronią w akcji. Sterowaną wiązkę mikrofal naprowadza się na serce, promieniowanie blokuje układ krwionośny i mięsień serca przerywa pracę. Centralny system nerwowy także zostaje odcięty. Ważne są tu dwa czynniki: dokładnie dobrana częstotliwość i bardzo duża celność. Jeżeli mój domysł jest trafny i Mertę zabito z kieszonkowego mazera, to znaczy, że ktoś dokładnie wiedział, w jakiej części śluzi znajduje się Szwedka i w jakiej pozie.

Tworzywo pancerne, rzecz prosta, nie stanowi prze-

szkody dla mazera, ale dla wzroku jest to przeszkoda! Wykluczone, żeby strzelając na oślep można było trafić tak celnie. Czyżby oni tam widzieli przez ściany? A jeżeli widzą, to znaczy, że z zainteresowaniem obserwują, jak robię Mercie pośredni masaż serca. I drzwi się lada moment otworzą...

Postanowienie dojrzewa błyskawicznie. Szans mam niewiele, trzeba wykorzystać chociażby jedną. Szefowie Merty mogą się znajdować z każdej strony śluzy. Nie jest zresztą wykluczone, że czekają na mnie z obu stron. Wolałam jednak nie rozważać tej możliwości. W lotniach C i D nie mam nic do roboty, muszę wrócić na miejsce. Zwłaszcza że jest tam Olaf i jeżeli ujdę cało — to najważniejsze starcie mam dopiero przed sobą.

Otwieram drzwi wiodące do lotni B. Wychyłam się.

Zdumiewające, ale w korytarzu nie ma nikogo. Na drzwiach barku jak przedtem wisi tabliczka „Przerwa”. Galeryjka nad cumowiskiem jest pusta. Czyżby popełnili błąd? A może to kolejna pułapka? Może liczą, że śmierć Merty tak czy owak zapiszą na moje konto i nie zdołam im umknąć.

Obciążam marynarkę, ocieram pot z czoła, przygładzam włosy i szczelnie zamknąwszy za sobą drzwi pomostu przechodzę do prawego salonu lotni B. Sadowię się w pierwszym lepszym wolnym fotelu. Zaciągam zasłonę. Wyjmuję komputer, moją różdżkę czarodziejską. Mego



pomocnika niezastąpionego. Moją broń, mój wytrych, pamięć, nadajnik radiowy, notes. Teraz chodzi o moje ocalenie. Pozostaje mi tylko środek ostateczny. Ekspertom bezpieczeństwa wolno zeń skorzystać wyłącznie w razie bezpośredniego zagrożenia życia. W tym także własnego. Środek ten nazywa się „teleinterface”. Odwołując się do pewnego hasła mogę za pośrednictwem mego komputera włączyć się drogą radiową do komputera „Stratoportu” i polecić wykonanie każdego manewru. Dla załogi będzie to wyglądać jak zakłócenie programu. Po prostu nie zdążą zainterweniować.

Wystukuję hasło, na ekranie zapala się czerwony napis „kontakt”. Wprowadzam komendę: rozłączyć „Stratoport” wzdłuż centralnej osi wzdłużnej. Napis „kontakt” zmienia kolor na niebieski. Oznacza to: komenda została przyjęta.

Wyobrażam sobie, jak wiele mechanizmów zaczyna zgodnie działać. Część elektrycznych obwodów blokuje się, inne się włączają. Śluzy dziobowe i rufowe zostają zhermetyzowane. Następuje odłączanie części demontowanych. Włączają się wreszcie pomocnicze silniki sterów zwrotu, płaszczyzny sterów odchylają się pod zadany kąt i gigantyczna latająca stacja rozpada się na dwie połowy. Złączone lotnie A i B, gdzie siedzę, odpływają w lewo, lotnie C i D — w prawo. I nikt oprócz mnie oraz zagadkowych szefów Merty nie wie, że w tej właśnie

chwili siły bezwładu unoszą ze służby rufowej ciało kobiety. Spada ono w dół, a potem — ileż to czasu trwa spadanie z wysokości dwudziestu tysięcy metrów? — z głośnym pluskiem wpada do wody gdzieś tam na trawersie przyładku Hatteras, i na wieki pochłania je Atlantyk.

Wybacz, Merto! Czy można było ciebie uratować? Myślę, że nie, skoro serce trafił strzał z mazera. Wiem jednak z całą pewnością, gdyby się to wszystko ułożyło inaczej, wykonywałbym masaż serca i dziesięć, i dwadzieścia, i trzydzieści minut. Dopóki by nie zaczęło bić. Albo dopóki bym nie zrozumiał, że moje wysiłki są zupełnie beznadziejne.

Ale znaczy to, że Szwedka była przynęta i że wcale nie ja wymyśliłem ten scenariusz. Pozostawało mi tylko jedno na pociechę: tajemniczy szefowie spisali Mertę na straty długo przedtem, nim połączyłem się z komputerem „Stratoportu”. Merta była już ofiarą w chwili, gdy wchodziła na trap wahadłowca, który miał ją dostarczyć na pokład latającej stacji. Los jej był przesądzony.

...A w salonie migotały już czerwone światełka i buczał brzęczyk. Pasażerowie ze zdziwieniem spoglądali na siebie i ktoś głośno wypowiedział uszczypliwe zdanko pod adresem pilotów. Ci zaś, co siedzieli przy prawej burcie, ze zdumieniem stwierdzili, że zamiast imitatorów, które stwarzają złudzenie zwykłego salonu samolotu, pojawiły się rzeczywiste iluminatory i dobrze przez nie wi-

dać, jak majestatycznie oddala się od nas prawa połowa gigantycznego „Stratoportu”.

— Uwaga, pasażerowie — rozległ się z głośników spokojny głos pilota — nasz statek wykonuje planowy manewr. Wszystkie układy działają normalnie.

Szybko się zorientowali, zuchy! W porę przejęli inicjatywę.

— Po wykonaniu koniecznych ewolucji — kończył głos z głośnika — nasza lotnia przyłączy się i będzie kontynuować wspólny lot z pozostałymi.

Odczekałem z piętnaście minut. Wreszcie połówki stacji spotkały się i połączyły, czerwone lampki w salonie zgasły, zamiast iluminatora, który zasłaniała teraz sąsiednia lotnia, pojawił się obrazek-imitacja. Wszystko potoczyło się normalnym trybem. Czyżby normalnym? Przekonam się o tym na własnej skórze.

Wstałem i wolno ruszyłem ku pomostowi. Czas wracać do siebie, do lewego salonu lotni A.

Siedzę znów w fotelu 9-B, zasłonka oddziela mnie od sąsiada z prawej: telewizor jest włączony, poświata ekranu, wmontowanego w oparcie fotela ósmego rzędu, pada na moją twarz. Postronny obserwator, który byłby ciekaw, co robię, stwierdzi, że pasażera z Rosji nad wyraz zafascynowało estradowe show, zorganizowane przez BBC.

Usiłuję tymczasem znaleźć nowy klucz do szyfru i jednocześnie zastanawiam się, gdzie tkwi błąd. Dlaczego

właśnie moja osoba przyciąga tak bardzo uwagę niewiedzialnego przeciwnika? Co zmusza go do tak krańcowych działań i tak dziwnych posunięć?

Moje postępowanie nie wyróżnia się logiką, ale z natury rzeczy to właśnie zwierzyzna, a nie myśliwy, powinna kluczyć. Wszakże mój przeciwnik... Albo nie umiem docenić całej przebiegłości jego zamiarów, albo też popełnia on jeden błąd za drugim. Pierwszy błąd — pozwolono mi na unieszkodliwienie barmana. Drugi — pozwolono mi zaprowadzić Mertę tam, gdzie chciałem, a nie tam, gdzie można mnie było bez trudu kontrolować. Trzeci: podarowano mi cudowną przerwę — dobre pięć minut robiłem Mercie masaż serca i nikt nie wdarł się, nie zabił mnie, nie zaaresztował. . . Czwarty wreszcie błąd: pozwolono mi na przełamanie „Stratoportu” i na pozbycie się jedynej poszlaki — martwego ciała.

Być może wyprzedzam przeciwnika o jeden ruch i nie może on przewidzieć mego postępowania? Albo też stosuje taktykę elastycznej reakcji. W tym wypadku „pozwała” mi się na wiele albo wiele „przebacza” z jednego tylko powodu: głównego celu, o który zabiegam, jeszcze nie osiągnąłem. Przecież ujawniłem się żądając kodu od Merty! W chwili gdy odczytam komunikat, który przekazał Olaf, natychmiast zechcą pozbawić mnie życia.

Najprawdopodobniej tak się rzeczy mają. Dopóki nie rozgryzłem tajemnicy, nie jestem groźny. Sens tej bezsen-

sownej gry, jaka się toczy obecnie na „Stratoporcie”, kryje się w przechwyconym przeze mnie zaszyfrowanym komunikacie. To znaczy sfuszerowałem w Halifaxie. Kiepsko, do licha!...

Gdy tylko się dowiedziałem, że Olaf jest też w Halifaxie, natychmiast podjąłem kroki, by się z nim nie spotkać, trzymałem jednak starego znajomka nieustannie w polu widzenia.

Oczekiwano mnie na lotnisku i od razu odwieziono do Pugwash, gdzie drugi już dzień trwała aukcja. Odbywała się ona w domu Syrusa Eatona — był to hołd złożony pięknej tradycji. Przed czterdziestu niemal laty odbyło się tam pierwsze międzynarodowe spotkanie, które zapoczątkowało ruch Pugwash.

Olsena-Leytona nie widziałem ani razu w domu Eatona ani w pobliżu. Odnosiło się wrażenie, że człowiek ten wcale nie jest zainteresowany aukcją i przybył do Nowej Szkocji wyłącznie w prywatnych sprawach. Ale kiedy my wszyscy — sprzedawcy, nabywcy, eksperci i nieliczni dziennikarze — udaliśmy się na wycieczkę do Baddeck, aby zwiedzić muzeum Alexandra Grahama Bella i obejrzeć miejsce, gdzie bracia Wright po raz pierwszy unieśli się w powietrze, dostrzegłem w tłumie gości wysoką postać zwieńczoną złocistą czupryną: „Mógłby Leyton ufarbować włosy — pomyślałem wtedy — nie można przecież tak zwracać na siebie uwagi”.

Aukcja w Halifaxie, podobnie jak w Reykjavíku, toczyła się bez niespodzianek. Dziwiły mnie wprawdzie niektóre szczegóły, ale były to odczucia subiektywne, nie związane z procedurą licytacji. Na przykład OWR nabyła dużą partię bomb „gazopalnych”. Oczywiście, nikt nie pytał mnie o zdanie, zresztą nie miałem prawa do wtykania nosa w cudze sprawy, ale w głębi duszy męczyła mnie ciekawość: do czego jest potrzebna ta broń organizacji, zajmującej się z ramienia ONZ sprawami wyżywienia i rolnictwa? Zastanowiwszy się w wolnej chwili doszedłem do wniosku, że właściwie nic w tym dziwnego: najprawdopodobniej bombami można oczyszczać trudno dostępne połacie ziemi dla rolniczego zagospodarowania. Zamówienia zgłosiły najprawdopodobniej kraje Polinezji, ponieważ bomby należało odstawić do magazynu na Wyspie Bożego Narodzenia na Pacyfiku; jako punkt przeładunkowy wymieniona była wyspa Sokotra.

Międzynarodowy Instytut Farmakologiczny zawarł z rządem brytyjskim kontrakt na zakup stu ton gazu musztardowego. Co ma z nim wspólnego farmakologia, domyśliłem się od razu, ale skala transakcji mnie zaszokowała. Gaz musztardowy, inaczej iperyt, służy jako podstawa psoriazyny — leku na łuszczycę. Trzeba w tym celu gaz rozrzedzić wazeliną dwadzieścia tysięcy razy. Gdzie szacowny instytut zamierza podziąć dwa miliony ton psoriazyny? To wypada po ćwierć kilo na każdego mieszkańca

naszej ośmiomiliardowej Ziemi... Zresztą, najpewniej nie mam racji. Nie trzeba się pchać w rewiry farmakologii, jeśli zna się ją byle jak. Zapewne iperyt można spożytkować na dziesięć różnych sposobów. Albo na dwadzieścia. Oni wiedzą lepiej.

Wiele podniecenia wywołała sprzedaż elektronicznego nadzienia skrzydlatych rakiet „Tomahawk”. Do licytacji przystąpiło od razu pięciu nabywców: Międzynarodowy Instytut Naukowo-Badawczy Problemów Zarządzania, Międzynarodowy Związek Elektrołączności, Instytut Badań Naukowych i Edukacji ONZ, Międzyrządowa Komisja Oceanograficzna oraz Agencja Specjalnych Służb Informacyjnych z Ameryki Łacińskiej. Zwłaszcza ta ostatnia bardzo się starała o ten zakup; jej przedstawiciele, zdawało się, gotowi byli natychmiast gołymi rękami rozszarpać „Tomahawki” i wydrzeć z ich wnętrz całą zawartość, aby czym prędzej wywieźć ją do siebie, do panamskiego klasztoru Santa Domingo.

Rzecz prosta, żadnych „Tomahawków” w Halifaxie nie było. Oczekiwały na demontaż na Wyspach Owczych. Z licytacji wyszła zwycięsko Komisja Oceanograficzna. Urażeni latynoamerykańscy kandydaci na nabywców porzucili Pugwash, oświadczając, że nie życzą sobie uczestniczyć w dalszym ciągu aukcji.

Oto jeszcze jeden kłopot KOMIRO. Chłopcy z oddziału latynoamerykańskiego będą musieli polecieć do

Panamy, by wyperswadować agencji bojkot i wszelkie urazy, słowem, na-mówić ją, żeby zapomniała o wszystkim, co złe, a pamiętała tylko o tym, co dobre. Przypomina to trochę przedszkole. Ale jeżeli nabywcy zaczną urządzać manifestacje, to może zostać podważona sama idea aukcji, a są tacy, którzy właśnie o tym marzą.

Jeszcze jedno pokojowe starcie wywołało ogólne zainteresowanie. Pod młotek oddano partię piętnastu strategicznych bombowców „Stelt”. Choć to dziwne, ale nabywców zgłosiło się tylko dwóch, i to bardzo, bardzo ciekawych: Powszechny Związek Pocztowy oraz Powszechne Centrum Techniki Obliczeniowej i Rozwoju Człowieka. Po co im były potrzebne bombowce, nie zdołałem pojąć. Widocznie jednak były potrzebne, skoro nikt z nich nie chciał ustąpić. Cena sprzedaży rosła, ale bardzo wolno, sprawa omal nie znalazła się w ślepym zaułku. Dyrekcja aukcji przerwała ten upór bardzo prosto: sprzedaż bombowców odłożono na czas nieokreślony. Słusznie. Na pewno znajdą się energiczniejsi nabywcy.

Gdy tylko decyzja ta została ogłoszona, udałem się na lotnisko, w Halifaxie nie miałem już nic do roboty.

Oczekując na dworcu lotniczym wahadłowca, dostrzegłem ponownie Olafa: nerwowym krokiem przechadzał się w drugim końcu sali. Bardzo wątpię, czy agenci wolno ujawniać własne emocje. Olsen zapewne nie spodziewał się, że ktoś może go obserwować (z własnego



doświadczenia wiem, że spodziewać się tego trzeba zawsze). W ręku miał czarny neseser dziwnych rozmiarów — z półtora raza mniejszy niż zwykła podróżna walizeczka. Spiąłem się jak jamnik, gdy zwęszy ślad borsuka. Zawartość takich malutkich walizek nie odznacza się zbyt dużą różnorodnością. Jest to albo typowy zestaw specjalisty z zakresu kontrwywiadu — w tym wypadku wewnątrz powinien znaleźć się telefon-skrembler, elektroniczne urządzenie szyfrujące, „wykrywacz pluskiew” i niektóre inne sprytnie pomyślane zabawki, albo też walizeczka zawiera komputer z teleinterfacem i urządzeniem dla ściśle ukierunkowanej łączności satelitarnej.

Przyjąłem drugi wariant i żal mi się nawet zrobiło Olafa: szefowie umyślnie go narazili zaopatrując w sprzęt, który profesjonalista odgadnie od pierwszego wejrzenia. Ja też mam potężny komputer, nawet z readerem, ale wszystko mieści, się w kieszeni marynarki.

A więc łączność satelitarna. Olaf otrzymał pewnie przed chwilą bardzo ważną informację (inny wariant: ukończył zbieranie informacji) i musi ją jak najspieszniej przekazać. Gdzie zamierza pracować ze swą walizeczką? Nie miałem wątpliwości, że Olsen lada chwila nawiąże łączność, w przeciwnym razie skąd ta nerwowość. Zaraz zacznę rozglądać się za spokojnym kącikiem.

No właśnie. Olaf skierował kroki na pierwsze piętro dworca lotniczego. Ale tam trudno jest skryć się przed

ludźmi. Czyżbym fałszywie tłumaczył zachowanie Olse-  
na? Jadąc ruchomymi schodami w drugim końcu sali  
przerabiałem w myślach możliwe warianty własnego po-  
stępowania. Wariant pierwszy: zderzymy się twarzą w  
twarz. Wariant drugi: Olaf zamknie się w toalecie  
(wszystko jest możliwe na tym świecie, ale nadawać pilną  
informację przez żelazobetonową ścianę to według mnie  
ciche szaleństwo). Wariant trzeci: Olsen rozkłada nadaj-  
nik i pracuje wprost na oczach publiczności na otwartej  
galerii pierwszego piętra (dla nie wtajemniczonych nie  
ma w tym nic szczególnego: siedzi sobie człowiek i pra-  
cuje na komputerze). Wariant czwarty...

Czwartego wariantu nie zdążyłem wymyślić. Ru-  
chome schody wyniosły mnie na piętro. Olafa nie było  
nigdzie. Nie mogłem miotać się po wszystkich zakamar-  
kach dworca, w jawny sposób podpadając, toteż odsze-  
dłem od schodów i zacząłem się zastanawiać, gdzie teraz  
może być Olsen.

Nie, wcale nie tak. Postawię się w jego sytuacji.  
Gdzie by się skrył? Oczywiście na dachu! Jest płaski, nie  
ma tam ludzi i można kontrolować wokół siebie spory  
kawał widocznej przestrzeni. Gdyby pojawił się ktoś ob-  
cy, bez trudu można go natychmiast zneutralizować.

Tak więc na dach. Ciekawe, czy Olaf wie, że prowa-  
dzą tam dwa wejścia?

Najważniejsze obecnie to odgadnąć, którędy udał się

Olsen i pójść inną drogą. Ustalić tego dokładnie nie można. Pozostaje ryzyko — pół na pół.

Minąłem niewielki korytarzyk, wychodziły nań drzwi z pomieszczeń służbowych. A oto wejście na dach — drzwi bez numeru, niczym nie różniące się od pozostałych. Szarpnąłem klamkę. Zamknięte. Generalnie rzecz biorąc, niczego to jeszcze nie dowodzi, ale szanse, że Olaf skorzystał z innego wejścia, powiększyły się. Wyciągnąłem wytrych, bez trudu otworzyłem drzwi i powoli zacząłem wchodzić na schody.

Schody prowadziły pod niewielki daszek, podobny do budki nad ujściem kanału wentylacyjnego. Jeszcze jedno drzwi. U góry mają szybę. Tylko otworzyć i już dach. Nie otworzyłem. Moje zadanie nie wymagało ani kontaktu wizualnego, ani bojowego z przeciwnikiem.

W odległości mniej więcej trzydziestu metrów wznosiła się identyczna budkadaszek. Obok niej siedział w kucki Olsen. Otwarta walizeczka leżała na dachu. Z jej wnętrza wystawał pręt anteny. Poruszał się ledwo dostrzegalnie — dostrajał się system samonaprowadzania. Mam więc do dyspozycji kilka minut, a może tylko sekund. Gdy komputer wychwyci satelitę, na ekranie pojawi się sygnał, Olsen kilkakrotnie naciśnie klawisz „emisja”, pakiet informacji popłynie mostem radiowym do odbiorcy. I koniec. Walizeczka zostanie zamknięta, Olaf zejdzie schodami, pojawi się w sali. O cóż chodzi, panowie?

Dlaczego nie zamierzam przechwycić depeszy? Dlatego, że mam do czynienia nie z krótkofalowcem amatorem, lecz z Terryem Leytonem, pracownikiem CIA. Jego komputer wyposażono w podprogram dla skremblera, a na dodatek w podprogram kompresji informacji, a być może, również w mikroprocesor kodujący. Toteż przejęcie depeszy z anteny oznaczałoby uzyskanie takiej abra-kadabry, której absolutnie nie sposób rozszyfrować! Jedyna możliwość dotarcia do sedna polega na dobraniu się do pamięci komputera i wydobyciu przekazywanej informacji z pominięciem skremblera i innych perełek techniki szyfrowania.

Musiałem się pospieszyć. Wydostałem z kieszeni ridar.

Ridar (nie mylić z readerem) przypomina zewnątrz niewielkie pistolet z szerokim kielichem zamiast lufy. To nie jest broń, lecz bardzo subtelny przyrząd — rentgenolidar albo rentgenolokator laserowy. Albo też, jeszcze ściślej, laserowy rentgenoczytnik hologramów molekularnych. Nazwa lidar pochodzi od angielskiego Light Detection and Ranging. Takimi przyrządami już od lat posługujemy się na co dzień, chociaż nie wiemy na ogół, jak działa to prościutkie urządzenie, które służy do określenia stopnia zanieczyszczenia powietrza w mieszkaniu lub do ustalenia, czy ciasto w piekarniku jest już gotowe. Zamieńmy w angielskiej nazwie Light na Roentgen —

otrzymamy ridar. Ten właśnie jedyny przyrząd, który mógł mi teraz pomóc.

Działanie ridaru jest równie łatwo wyjaśnić, jak trudno go zrobić. Opiera się na czterech najnowszych kierunkach w fizyce promieni rentgenowskich: rentgenolasyery małych mocy (paradoks rozwoju nauki: powstanie słabych laserów stało się możliwe dopiero po opanowaniu źródeł promieniowania koherentnego wielkiej mocy), rentgenosondy przestrzenne oraz rentgenoholografia i rentgenostrukturalna analiza laserowa.

Po cóż mi słabe koherentne promienie rentgenowskie? Ano, spenetruję nimi komórki pamięci komputera. Promień po dyfrakcji powraca do rejestratora, spotyka się z promieniem elementarnym i w wyniku interferencji pojawia się rentgenohologram siatki kryształów cudzej pamięci wraz z zapisem informacji. Mój komputer rozszyfrowuje tekst, dostarczony przez promień i przekazuje go do monitora w postaci wygodnej dla czytania. Z grubsza biorąc jest to tak, jakbym połączył się z cudzym komputerem za pomocą interface'u.

Rejestrator mam zablokowany z komputerem. Obliczyłem kąt dyfrakcji i kamień spadł mi z serca: przestrzeń budki i schodów w zupełności wystarczała do rozmieszczenia ridaru i rejestratora. Sprawdziłem, jak funkcjonuje quasi-reflektor promienia elementarnego, określiłem, gdzie mam umieścić komputer — dokładnie prostopadle

pode mną na czternastym stopniu schodów licząc od góry, rzuciłem się w dół, włączając po drodze dźwiękowy zapis odbioru, umieściłem aparat na zakurzonej betonowej powierzchni i powróciłem do budki. Przestałem oddychać, naprowadziłem celownik radaru na walizeczkę Olafa.

Nasze ruchy zbiegły się: Olsen powtórnie nacisnął klawisz emisji, a ja w tej samej chwili nacisnąłem spust radaru. Komputer w dole milczał.

Lekko poruszyłem kielichem radaru. Cisza. Olsen nacisnął na guziczek i pręt anteny skrył się we wnętrzu walizeczki. Jeszcze raz starannie wycelowałem i wolno prowadziłem niewidzialny promień spiralą wokół obranego punktu.

Dziwna rzecz: obu nas, mnie i Olafa, jakby podłączono do jakiegoś synchronizatora. Na dole, na schodach, rozległ się dźwięk brzęczyka (trafiłem w cel!), Olsen zaś w tej samej chwili zatrzasnął walizeczkę. Koniec przekazywania. Zaszyfrowana i sprasowana informacja trafiła za pośrednictwem satelity do odbiorcy, mój komputer natomiast dzięki radarowi utrwalił hologram siatki krystalicznej, na której informacja ta była zapisana.

Pobiegłem schodami i wyprzedzając Olsena wpadłem do hallu na piętrze. Następnie, już bez pośpiechu, poszedłem do sali odpraw, znalazłem się przy stanowisku, nad którym płonęła podświetlana tablica: „Halifax — Stratoport”.

Po pół godzinie leciałem wahadłowcem. Siedzący obok pasażerowie nie budzili we mnie żadnych podejrzliwych emocji. Wyciągnąłem z kieszeni komputer i wprowadziłem polecenie, by przekształcił rentgenohologram w matrycę kodu binarnego.

W rzeczywistości zadanie było znacznie bardziej skomplikowane. Komputer musiał początkowo wydzielić z hologramu niewielką część — mikroschemat pamięci operacyjnej — toteż moje urządzenie myślało dość długo. Minęło całe dziesięć minut, nim na ekranie monitora zajął tekst liczbowy. Właśnie ten. Przedstawiał się następująco:

```
01011010110110011110110101010111
10111110101101101111101110110110
11010101111011011010101111101111
01111011011011101101101111010110
0110110101010111011101111011110
11110111101111011110011010101101
11010110101101101010010110011101
1101111110101010110111101110011
11111001010111011011100111101110
01011011011110111110100101010110
01101010111110110101010111100110
11101101010110101101011001101101
0101110101010110111110111111011
```

```
10110111011111011111101101011110
11010101010111101111101111110101
10111011101110110111101011011011
01101011111110101010111110011011
10011101011011111011111011101111
01101010111110101110111101110111
11100111101001101010101110101011
10111010101011111001111110111001
11101111110110111011011110111111
11111110111001011010110111010101
1010001
```

Rzuciwszy okiem na ekran natychmiast zrozumiałem, że czeka mnie nie byle jaka robota. Intuicja podpowiadała mi, że z tym binarnym kodem będą kłopoty, a i sam wygląd matrycy świadczył o złożoności zadania: była ona niestosownie prostokątna, w dodatku z jakimś nieprzyzwoitym ogonkiem u dołu.

Czyżby szyfrogram? Logicznie biorąc, Olaf nie potrzebował utrwalac w pamieci komputera informacji w postaci zaszyfrowanej: całkowita tajność zapewniał skrembler włączający się samoczynnie przy nadawaniu. Mój komputer z jego nieograniczoną pamięcią i szybkim działaniem powinien był to wszystko zbadać i przekazać na ekranie gotowy tekst literowy. Tak się nie stało. A więc depesza Olafa była zaszyfrowana od początku. Albo



przeciwnicy wiedzą o możliwościach naszego ridaru, albo też depesza na tyle odsłania wszystkie ich karty, że Olaf uciekł się do podwójnego zabezpieczenia.

Do cumowania przy „Stratoporcie” pozostały minuty. Trzeba jak najszybciej przekazać matrycę do swoich: niech się tam koledzy też głowią nad odczytaniem. Zresztą — kto wie, co może się mnie przytrafić.

Wywołałem na ekran komputera rozkład satelitów łączności nad punktem o współrzędnych Halifaxu. Niech to diabli! Satelitę miałem nad głową przed pięcioma minutami. Sygnał będzie musiał to nadrobić. Zebrałem matrycę w pakiet depeszy i przełączyłem nadajnik na automatyczne naprowadzanie.

Nie przyniosło mi to ulgi. Satelita mógł nazbyt się oddalić, to po pierwsze. Wahadło-wiec może mnie ekranować, to po wtóre. Po trzecie, ekranować może także kadłub stacji. Tak czy owak innego wyjścia nie miałem. W nadmuchiwanym rękawie śluzy, którym przechodziliśmy z wahadłowca na „Stratoport”, włączyłem nadajnik. Czy mój sygnał trafi do celu? W każdym razie teraz odczytanie matrycy własnymi siłami jest dla mnie sprawą honoru.

Wyłączyłem komputer, schowałem go do kieszeni i rozejrzałem się. Wydaje się, że jest spokój. Ale jakiś błąd popełniłem. Zapewne jeszcze w wahadłowcu, gdy łamałem głowę nad matrycą. Czyjeś nieprzypadkowe spojrze-

nie mogło paść na monitor mego komputera, przecież na miejscach dla pasażerów nie ma w wahadłowcach zasłon. Zresztą, ktoś mógł mnie podpatrzeć także później, już w służbie, lub wcześniej, gdy nacelowywałem ridar zgarbiony w ciasnej budce. Ale kto to mógł być? Przecież na dachu dworca lotniczego w Halifaxie prócz mnie i Olafa nie było nikogo. ..

Po przejściu na „Stratoport” udałem się od razu na moje miejsce 9-B, zaciągnąłem zasłonę i natychmiast zająłem się komputerem. Wygląd matrycy na ekranie budził rozpacz. Miałem przed sobą kod, którego nie można było określić jako jednoznacznie poddającego się deszyfrowaniu. Nie miałem najmniejszego pojęcia, w jaki sposób należy podzielić ten ciąg symboli kodu na jego wyrazy, w dodatku tak, by podział ten był jedynie trafny. Ale nie mogę się wycofać.

Początkowo poddałem matrycę obróbce tych programów, które mogłem sobie przypomnieć: program podstawiania, program przemieszczeń, szyfr Cezera, szyfr Tritemiusa...

Za mało. Owszem, mój komputer ma nieograniczone możliwości, ale ja jestem właściwie laikiem, jeśli chodzi o analizę kryptogramów. Wyteżyłem pamięć i przypominałem sobie reguły kodu Hemminga, ale i tutaj fiasko: skąd mam wiedzieć, jaka jest długość słowa kodowego w tym szyfrogramie, który tak smutno lśnił na ekranie. Po-

bawiłem się trochę komputerem, próbując długości 3, 4, 5, 6, 7, 8 i zrozumiałem, że to ślepy zaułek.

Nade mną unosiło się widmo Claude'a Shannona, ojca informatyki. Już bardzo dawno temu zademonstrował on, jak można sporządzić kryptogram, którego nie da się rozszyfrować, jeżeli nie zna się sposobu, w jaki został sporządzony. Mimo to kontynuowałem grę. Zapewne w całej dalszej historii główną rolę odegrał właśnie fakt, że w tych sprawach byłem kompletnym ignorantem. No i moja miłość własna, zraniona tym, że nie wiedziałem, jak się zabrać do kryptogramu. Postanowiłem więc atakować go frontalnie. Mój zaś dyletantyzm kazał mi pomyśle o kształcie matrycy.

Byłem do tej pory święcie przekonany, że matryca kodu musi mieć kształt kwadratu — jakieś echa niemal całkiem zapomnianego uniwersyteckiego kursu algebry matrycowej. Rzeczywiście, matrycę kwadratową łatwo jest transponować albo — mówiąc zwyczajnie — symetrycznie przekształcać względem przekątnej. Ale nikt nie twierdzi, że w moim przypadku potrzebne jest jakiegokolwiek transponowanie.

Skoro mam do czynienia z matrycą prostokątną, rozważałem, do tego z ogonkiem, coś tu nie gra. Należy ją tak przerobić, by pojawił się kwadrat, ogonek zaś znikł. Przypadkowo obrałem właściwy kierunek, w zasadzie jest to nieprawidłowe i Bóg wie gdzie mogło mnie zaprowa-

dzieć.

Ustaliłem liczbę znaków w wierszu — było ich trzydzieści dwa — i postanowiłem zmniejszyć matrycę łącząc znaki parami. A więc tekst rozbiłem na wyrazy kodu o długości równej dwu. Ale w kodzie binarnym dwoma znakami można zapisać tylko cztery cyfry 0(00), 1(01), 2(10) i 3(11). W ten sposób przekształciłem tekst na system czwórkowy. Teraz przed-stawiał się on następująco:

1122312132311113  
2332231233232312  
3111323122233233  
1323123231233112  
1231111313132332  
3313233132122231  
3112231222112131  
3133222231323212  
3321113123213233  
1123132332211112  
1222332311113212  
3231112231121231  
1131111233233323  
2313133133231132  
3111113233233311  
2323232313223123  
1223332222332123

2131123323323233  
1222332232331313  
3213221222232223  
2322223321332321  
3233312323132333  
3332323122313111  
221

Matryca pozostała prostokątna, ale była teraz wyciągnięta w kierunku pionowym. I co ciekawe, w całej matrycy nie było ani jednego zera. Uznałem to za dobry znak, ponieważ w tym bałaganie zaczął prześwitywać jakiś system...

Natrętna myśl o kwadratowej matrycy nadal mnie prześladowała. Niewiele myśląc podzieliłem kryptogram na dwie nierówne części: u góry powstał kwadrat z 256 (16x16) znaków, w dole — prostokątna tablica z koślawym ogonkiem.

Godzinę już tkwiłem na pokładzie „Stratoportu”, a na rozwiązanie nawet się nie zanosilo. Sprawa jednak ruszyła z martwego punktu, wprowadzie złym torem, ale jakoś zbliżałem się do celu. Dopiero po czterdziestu minutach doznałem olśnienia: część dolna może być kluczem do górnej. A nuż mam do czynienia z rzadkim kodem o zmiennej długości wyrazu kodowego? Wówczas wskazówek, jak różnicować tę długość, szukać należy w sa-

mym kry-ptogramie.

Założmy, że długość wyrazu zmienia się od 1 do 3 i dolna część matrycy jest zapisem tej długości, a kod czwórkowy wybrano, by utrudnić deszyfraż: w kryptogramie i tekst pod-stawowy, i klucz zapisane są przy pomocy zaledwie trzech cyfr i wcale nie jest rzeczą prostą połączyć się, co jest co. W dodatku zakodowany tekst wygląda zupełnie bezsensownie i wyróżnienie przedrostków wyrazów kodu oraz podział wyrazów na pierwszy rzut oka wydają się niemożliwe.

Podjąłem próbę odczytania kwadratowej matrycy przy pomocy klucza, jego wizerunek napełnił się u mnie treścią liter — ogonek przekształcił się w bródkę. W kluczu pierwszą cyfrą była 1, a więc pierwszy wyraz kodu składa się z jednej cyfry — jedynki. Druga cyfra klucza — 2, a zatem drugi wyraz matrycy zawiera dwa znaki, mianowicie 12. I tak dalej.

W rezultacie z kwadratowej matrycy otrzymałem co następuje:

1 12 23 121 323 111  
13 23 32 23 123 323  
23 1 23 111 32 3 122  
2 3 32 331 323 12  
323 123 31 121 23  
111 131 3 13 23 32

331 323 31 32 122 23  
131 122 3 122 2 112  
131 31 3 322 22 31 3  
23 21 23 32 111 31  
23 21 323 31 123 13  
23 32 21 111 212 22  
3 323 111 13 212 32  
3 111 22 311 212 311  
1 31 111 23 323 3  
323 23 131 331 332  
311 323 111 11 323  
32 3 3 31 12 323 2  
323 1 3 2 23 12 3

Nie pozostawało teraz najmniejszej wątpliwości: mam do czynienia z typowym, najprostszym, wręcz najprymitywniejszym kryptogramem! Literacka klasyka: „Złoty żuk” Edgara Poe. Orzeszek ten mój komputer rozgryzie w mgnieniu oka. Wprowadziłem program analizy częstotliwości i wyciągnąłem się wygodnie w fotelu. Zaraz ujrzę tekst.

Istotnie pojawił się. Przed oczyma miałem abrakadabrę, którą rozpoczynały te oto ciągi literowe: prefabye menaepebmow...

Po kilku chwilach, czyniąc sobie gorzkie wymówki za niedostateczną znajomość amerykańskich i brytyjskich

skrótów wojskowych, rozbiłem tekst na słowa: Prefab Yeman AE PEB mow...

Znów więc głowię się nad liczbowymi symbolami, ale w nastroju zupełnie nie przypominającym tego, w którym przystępowałem do deszyfrazu. Czoło zalane potem. Puls blisko sto czterdzieści. W naczyniach szaleje adrenalinowy sztorm.

Czasu właściwie nie mam. Za pół godziny dyżurny steward zaprosi pasażerów na pokład wahadłowca, który leci do Nassau. Jeżeli tekstu nie odczytam, rozstanę się z Olafem niczego mu nie dowiódłszy, a później — szukaj wiatru w polu. Nawet jeżeli moi koledzy na ziemi poradzą sobie z kodem, Olsen do tego czasu skasuje zapis w pamięci komputera i zostaniemy wszyscy na lodzie. Nie będzie można o nic go oskarżyć, wymknie się czyściutki.

Jedynki, dwójki, trójki migotały mi przed oczyma, w głowie huczał rój liczb, myślałem z przerażeniem, że jeszcze chwila — a przestanę w ogóle cokolwiek kojarzyć.

Może komputer przeholował z analizą częstotliwości? Ależ nie, nawet gołym okiem widać, że wyraz kodu „23” występuje częściej niż inne, a więc to jest z pewnością samogłoska, najprawdopodobniej „e”.

Tylko że właśnie przy tym założeniu komputer dawał dwie różne wersje! Więc może mimo wszystko nie jest to „e”?



Och, trzeba wziąć do rąk flamaster oraz notatnik i rozwiązywać zadanie metodą chałupniczą. Tak jak to robił William Legrand z opowiadania Poe'go.

Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Czując się jak ostatni kretyn zacząłem zestawiać tablicę częstotliwości: „23” spotyka się w tekście 15 razy. „323” — 13 razy, „3” — 13 razy, „32” — 9 razy, „31” — 8 razy. I tak dalej.

Załóżmy, że „23” wcale nie jest „e”, lecz powiedzmy „a”.

Co z tego wynika, nie pozwolono mi sprawdzić.

Cicho zabrzęczał sygnał i zapłonął przede mną ekran telewizora. Ukazała się twarz dyżurnego stewarda.

— Pan Szczukin?

Skinąłem głową.

— Proszę wybaczyć, że panu przeszkadzam — powiedział wyraźnie zmieszany steward. — Pewna pani, która nie chce, by podawać jej nazwisko, prosi, by pan zmienił miejsce i usiadł koło niej. Jest w naszej lotni, ale w pierwszym salonie. Miejsce 17-F. Jeszcze raz proszę mi wybaczyć, lecz ta pani bardzo nalegała.

Interesujące! Po śmierci Merty na całym „Stratoporcie” nie mam ani jednej znajomej kobiety. Sprawa, jak się wydaje, zbliża się do finału. Czemu miałbym odmówić? Szkoda, szyfr nie jest wciąż złamany. Nie ma też nikogo, kto by mnie mógł zabezpieczyć. Trudno, muszę polegać na własnych siłach. Tym bardziej że istnieje coś takiego,

jak pierwsze prawo cyklisty. „Dokądkolwiek się jedzie, zawsze będzie to pod górę i pod wiatr”. Nawiasem mówiąc, jest także bardziej optymistyczny aksjomat, zwany prawem Podłogowskiego: „Niemożliwy jest upadek z podłogi”.

Podziękowałem stewardowi i poprosiłem, by przekazał owej pani, że przyjdę za kilka minut. Następnie odsłoniłem story, wyszedłem do przejścia, rzucając przelotne spojrzenie w kierunku Olsena. Był na swoim miejscu. Ileż czasu można tak kamieniem tkwić w fotelu — może to manekin zamiast żywego człowieka? Nie zamierzałem zresztą sprawdzać tego przy-puszczenia. Jeśli mamy się spotkać z bliska, nie będzie to z mojej inicjatywy.

— Tysiącuroć przepraszam, czy nie mógłby mi pan pomóc? — usłyszałem cichy głos. Och, jak nie w porę! Zwrócił się do mnie starszy pan, który siedział w sąsiednim rzędzie. Włosy szpakowate, twarz dobrotliwa, cały na luzie... Nie, to nie jest przeciwnik.

— Słucham pana.

— Coś mi nie wychodzi z tą elektroniką. Stewarda nie mogę przywołać, ekran nie włącza się, w słuchawkach same szumy i trzaski.

Panie starszy, ależ z pana fajtłapa. I zagadnął pan wcale nie tego, kogo należy. Oby to panu nie wyszło bokiem.

— Proszę sprawdzić pulpit sąsiedniego fotela, jest

przecież wolny — powiedziałem z lekkim wyrzutem. — Albo też proszę naciskać guziki fotela przy oknie. Mało prawdopodobne, by wszystkie trzy pulpity zawiodły. Przynajmniej jeden będzie czynny.

— Serdeczne dzięki — odrzekł mężczyzna szeroko uśmiechając się. — Że też sam na to nie wpadłem? Nie znam się zupełnie na technice. ..

— To wada naszej cywilizacji — nie ustrzegłem się morałów. — Technika jest dla nas jak pieluszki. Ktoś powinien przychodzić i je zmieniać.

Szpakowaty pan spieszył się i zapewne obraził. Ale nic nie powiedział. Gdybym był na jego miejscu, nie powstrzymałbym się.

Wyszedłem z salonu i dotarłem do galerii nad cumowiskiem, gdzie zatrzymałem się przy szerokim oknie bezpośrednio nad stożkiem cumowniczym. Z tego miejsca, z tylnej krawędzi „Stratoportu”, widoczna była panorama ogromnej, błękitnej otchłani z rozwieszoną tu i tam czyściutką bielą strzępków chmur.

Odruchowo, któryż to już raz, spostrzegłem, że z wysokości dwudziestu kilometrów ocean wcale nie wygląda smutno. Toczy się tam jakieś niepojęte życie, widać fioletowe, zielone i granatowe podwodne „wyspy”, blade cienie gdzieś bardzo głęboko, wiją się drogi — ni to prądy, ni to granice anomalii temperatur. . .

Co może oznaczać zaproszenie do innego salonu?

Byłem pewny, że wolne będzie nie tylko to miejsce, które mi zaproponowano, ale i też wszystkie sąsiednie. Co mają w sobie szczególnego te miejsca? Znajdują się w prawym salonie, a więc z prawej strony, którą zasłania lotnia B, nie ma tam iluminatorów, zamiast nich stoją imitatory. To znaczy, że nawet gdybym bardzo chciał, nie zobaczę, co się dzieje poniżej „Stratoportu”. Czyżby na tym polegał sens moich przenosin? To dziwne... Może czeka mnie niespodzianka z zewnątrz?

Postanowiłem kilka minut odczekać. Ostatecznie, pomost nad cumowiskiem jest na razie pusty, nikt mnie nie goni i nie zagraża. Stałem więc, starając się pojąć, jaką przygotowano dla mnie niespodziankę.

Mija jedna minuta, druga. I... znów łut szczęścia. Szczęścia, ponieważ była piękna pogoda, niemal bez obłoków. Widoczność doskonała we wszystkich kierunkach, na setki kilometrów. Nie wyobrażam sobie, co mogłoby się stać, gdybyśmy lecieli nad chmurami.

Krótko mówiąc, dostrzegłem rakieta.

Znikąd — z pustego oceanu i pustej przestrzeni powietrznej — zbliżał się do „Stratoportu” doganiając go skrzydlaty pocisk. Zdaje się, że niepotrzebnie nazwałem go rakieta. Sądząc z kształtu skrzydeł i z rozmiarów (choć co do nich mogę się mylić, trudno jest ocenić skalę wielkości), w kierunku naszej stacji wystrzelono „Copperheada” — skrzydlaty pocisk artyleryjski naprowa-

dzany na cel przy pomocy komputera, po odbitym promieniu lasera. Co prawda, aby „Copperhead” poleciał, konieczne są co najmniej dwie rzeczy: laserowe naprowadzenie na cel oraz lufa, z której pocisk zostanie wystrzelony. Czyżbym przegapił obcy samolot w powietrzu?

Wszystkie te myśli przemknęły mi przez głowę w mgnieniu oka. Zamarłem. Ale dranie! Zaraz nastąpi wybuch i z lotni A zostaną drzazgi. Trzystu sześćdziesięciu pasażerów, powiedzmy, trzystu, jest sporo wolnych miejsc, runie do oceanu. Reszta „Stratoportu” będzie miała szczęście, jeśli załoga zdoła w porę odrzucić zniszczoną lotnię. Ale wyobraziłem sobie też znacznie gorszy wariant: wybuch, olbrzymia dziura w spodzie lotni, rozhermetyzowanie... „Stratoport” staje dęba i jak jesienny liść kołysząc się z boku na bok wpada do oceanu.

To już przypomina wojnę bez wypowiedzenia. Ale z kim? Ze mną? Czy to możliwe, żeby na czyjejs tam diabelskiej wadze moje skromne życie mogło zrównoważyć trzysta ludzkich istnień?

Skamieniały patrzyłem, jak „Copperhead” skrył się pod spodem „Stratoportu”». Zaraz!

Ale nic się nie stało.

Czyżby nawaliła głowica?

Nic nie rozumiałem, zebrałem siły i powoli wszedłem do prawego salonu. Pasażerów dużo, ale są wolne miejsca. Między innymi, jak się spodziewałem, nie jest zajęty

cały siedem-nasty rząd. Zbliżając się do niego poczułem, jak pod moją prawą łopatką pulsuje ciepły punkcik. Tak jest, zaczął działać wszczepiony pod skórę radiometr. Gdy znalazłem się między fotelami C i D siedemnastego rzędu pulsowanie na plecach stało się nieznośne i piekące. Rzeczywiście tutaj gorąco. Ciekawe, ile dostałem w tym krótkim czasie? Sto jednostek? Może więcej?

Ból pod łopatką dodał jasności myślom. Natychmiast zrozumiałem, co się stało. Fotel 17-F, gdzie miałem siedzieć, został zaatakowany wiązką promieni o ogromnej mocy. Pierwszą moją myślą było: też coś, z armaty do wróbla. Druga myśl: nie, wcale nie z armaty. Pocisk, który widziałem z okna galerii, nie był „Copperheadem”. To był „Maverick-IV” — mała skrzydlata rakietka z telewizyjnym naprowadzaniem. Ale wcale nie ze zwykłą głowicą, lecz z laserem gamma i celownikiem grawitacyjnym. Kosztuje to sporo. Jasne jak słońce: postanowiono mnie zlikwidować nie licząc się ze środkami. Dlaczego? Z pewnością, wpadka. Ktoś zorientował się, że lada moment odgadnę kod. Tego zaś, że przekazałem komunikat dalej, chyba nie wiedzą. . .

W ułamku sekundy, gdy wszystkie te myśli kłębiły mi się w głowie, zdołałem zrobić takie oto spostrzeżenie: poziom współdziałania fenomenalny! Mistrzowie! Z wykonawcami na „Stratoporcie” mają stałą łączność. W pobliżu znajduje się zapewne samolot. Krótki rozkaz i już

mknie „Maverick”, zbliża się do „Stratoportu”, ustawia dokładnie pod miejscem, gdzie jest fotel 17-F, a następnie ściśle prostopadle rąbie pękiem promieni gamma.

Jasne. Najważniejsze teraz, to uchronić pasażerów. Minąłem prawy salon, wypadłem na korytarz dziobowy, obejrzałem się — nie ma nikogo! — i ruszyłem ku drzwiom kabiny załogowej. Spokojnie! Jeszcze spokojnie! Puls. Oddech... Z pilotami nie ma żartów. Najmniejsza gafa, a wpakują mi kulę w łeb.

Otworzyłem drzwi uniwersalnym kluczem, wskoczyłem do kabiny, zatrzasnąłem drzwi za sobą, i uprzedzając strzał drugiego pilota, który ze sprawnością automatu już się ku mnie obracał, chwytając pistolet — wyrzuciłem naprzód rękę z zaciśniętą w dłoni legitymacją eksperta KOMIRO. Legitymacja mieniła się charakterystycznym lśnieniem tęczy: to włączył się hologram, gdy tylko dużym palcem przyłgnałem do pieczętki daktyloskopowego sensora.

— KOMIRO, bezpieczeństwo — mówiłem nieswoim, basowym głosem. — Wolnego, chłopcy. Nie trzeba mi dziurawić głowy bez potrzeby.

Napięcie spadło. Drugi pilot uśmiechnął się i schował pistolet.

— Z waszą wspaniałą stacją, chłopcy, dzieją się dziwne rzeczy. Na przykład — rozłączenie po linii B — C.

— Błąd komputera — rzekł pierwszy pilot.

— Pięknie — zgodziłem się. — Załóżmy. A dostrzeżliście skrzydlatą rakietę?

— Co znów za rakietę?

— Klasy „Maverick” z laserem gamma. Prawy salon rąbnięto promieniami.

Próbowali protestować, ale nie pozwoliłem na gadanie.

— Musicie uruchomić program alarmu przeciwpromiennego, na monitor wprowadzić punkty aktywne w prawym salonie.

Drugi pilot przebiegł palcami po klawiaturze komputera. Ekran ukazał schemat salonu. Fotel 17-F jarzył się na nim jaskrawoczerwonym światłem. Nawigator połączył się z głównym stewardem i w dwóch słowach wytłumaczył mu sytuację.

Dobrze, z tym załatwione. Steward ze spokojem w głosie powie pasażerom jakąś bujdzę „o naruszeniu równowagi z racji przedwczesnego cumowania wahadłowca z ładunkiem” i pasażerowie prawego salonu posłusznie przejdą na wolne miejsca w sąsiednich salonach.

— Jeszcze jedna prośba, chłopcy! — zwróciłem się do nich tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Proszę mi dać na duży ekran teleobraz lewego salonu.

Włączyły się mikrokamery umieszczone pod sufitem przedziału pasażerskiego i na ekranie zaczęły się poja-



wiać twarze, rząd za rządem. Fotel 5-C był pusty.

A więc Terry Leyton nie wytrzymał. Zrzucił maskę Olafa Olsena, poderwał się z miejsca i szuka mnie: oczywiście Leyton domyślił się, że uniknąłem ciosu promieni. Domyślił się, czy też dokładnie go poinformowano? W takim razie kto?

Trzy fotele z lewej, przejście, trzy fotele z prawej... Następny rząd... Kambuz i bufet... Znów trzy fotele z lewej... Drgnąłem. Wiedziałem, że teraz zobaczę Włodka, ale mimo to mrowie przeszło mi po krzyżu. Falejew siedział w tej samej niezmiennej pozie, ręka zwisała jak przedtem, i tylko ja wiedziałem, że to poza człowieka martwego.

A oto i ten starszy wiekiem niedorajda, który prosił mnie o pomoc. Cóż to u licha!

— Duży plan! — krzyknąłem.

Inżynier pokładowy nacisnął dwa guziczki równocześnie, zatrzymując plan i zmieniając ogniskową. Twarz starszego mężczyzny zajęła cały ekran. Nie było wątpliwości. On też nie żył. Mógłbym przysiąc, że i ta śmierć jest sprawką Olafa.

Tym razem trudno mi było zachować obojętność: cała wina szpakowatego pana polegała na tym, że zwrócił się do mnie z pytaniem. Zostało to natychmiast dostrzeżone, pasażera uznano za mego współnika i postanowiono go zlikwidować tylko po to, żeby w równaniu ryzyka było

o jedną niewiadomą mniej. Jakbym był nosicielem zarazy. Albo źródłem promieniowania. Każdy, kto się ze mną kontaktuje, natychmiast staje się dla Olafa i jego niewidzialnych szefów śmiertelnym zagrożeniem. I podlega zlikwidowaniu. Włodek. Merta. Biedny fajtłapowaty dżentelmen. Kto będzie następny?

Dopiero teraz zapewne uświadomiłem sobie w całej pełni, że nadszedł moment, gdy powinni rozprawić się ze źródłem ich zagrożenia. A więc ze mną. Do tej chwili wykluczałem ze swoich prognoz możliwość realnej utraty życia — nie wpadki, nie przecieku, nie aresztowania, lecz właśnie śmierci. I oto złudzenia przysły: w ciągu najbliższych pięciu — dziesięciu minut będę zabijany na wszelkie możliwe sposoby. Na ich diabelskiej wadze wartość informacji zapisanej w moim mózgu i w moim komputerze ostatecznie przeważała wartość życia półtora tysiąca pasażerów i osiemdziesięciu członków załogi „Stratoportu”. Kto wie, być może w tej chwili mknie ku niemu kolejny „Maverick”, tym razem nie z laserem gamma, lecz z główką termitową. Dręczyło mnie w tej chwili tylko jedno pytanie: dlaczego nie zlikwidowali mnie wcześniej? Jak to się stało, że jestem zdrow i cały, a Włodek i ten starszy pan nie żyją? Może z jakiegoś powodu nie można mnie usunąć? Jestem im na razie potrzebny? A może nie udało się im po prostu? Brukowy kryminał z niezwyciężonym superagentem...

Plan działania powstał natychmiast. Po pierwsze, zlikwidować zagrożenie dla załogi i w tym celu opuścić kabinę, zwodząc możliwych obserwatorów. Nie, to będzie drugie. Pierwsze, sprawdzić, czy nie jestem oznakowany. Jeżeli tak, to nie mam szans. Zrzuciłem marynarkę i szybko przejrzałem wszystkie szwy, zaszewki i brzegi. Oczywiście! Z prawej strony pod rękawem wykryłem niewielką szpileczkę z mikroskopijną kulką na końcu. Izotopowy znaczek, zapewnia odnalezienie mnie, gdziekolwiek będę. Gdziekolwiek się ukryję, szpileczka będzie sygnalizować, zdradzając miejsce mojego pobytu. Ukryć się... To trzeci punkt programu. Znaleźć maciupenką kryjówkę dla sporego mężczyzny.

Jedno wiedziałem na pewno, że Olafa nie ma w lewym salonie lotni A. Dlatego moja droga odwrotu wiodła przez lewy salon.

Podziękowałem załodze, radząc jej, by nie śledziła moich kroków mikrokamerami: obraz automatycznie zapisuje się na wideodysku i nie da się przewidzieć, kto pierwszy będzie mieć go w ręku. Wyszedłem na korytarz i szybkim krokiem ruszyłem po przejściu lewego salonu. Mijając ciało nieszczęsnego fajtlapy (wciąż jeszcze nie wywoływał podejrzania sąsiadów: wielu ludzi śpi w czasie lotu) niedostrzegalnym ruchem wetknąłem izotopową szpileczkę w rękaw jego marynarki: wybaczu, staruszkule. Tobie, niestety, już wszystko jedno. Posygnalizuj trochę

za mnie, bądź moją osłoną...

Głowiłem się dość długo, ale nic lepszego od toalety nie znalazłem. Agent ukryty w klozecie — to już sytuacja z kiepskiej komedii, dogodniejszego miejsca jednak rzeczywiście nie było. Ładownie odpadają, prowadzą do nich tylko cztery, łatwe do kontrolowania włązy. Kambuzy, bazy i bufety? Dwanaście pomieszczeń — czy trudno je sprawdzić? A toalet na stacji jest siedemdziesiąt dwie. Zanim się je obejdzie...

Oczywiście, i ta sytuacja podlega pewnej prawidłowości, określanej jako prawo Planowicza i głoszącej, że: „Każdy potrafi obmyśleć plan, którego niepodobna wykonać”. Z drugiej jednak strony mamy do czynienia z prawem Szukaczka, które powiada: „To, czego szukasz, znajdziesz na samym końcu”.

Zamknąłem się więc w toalecie, w jednej z trzech kabin, położonych w środkowej części lewego salonu lotni C, i znów otworzyłem swój notes.

Na czym to stanąłem? Na przypuszczeniu, że wyraz kodu „23” odpowiada literze „a”. Kilka chwil zastanawiałem się nad tym wariantem, potem go odrzuciłem. Nie podobało mi się zakończenie tekstu. Trzecia litera od końca jest zapewne samogłoską, wówczas dwie ostatnie to spółgłoski. Dlaczegożby nie założyć, że to oznacza OLS — skrót nazwiska Olsena. Uznałem to za całkiem rozsądne. Tak więc „23” to „o”, 12 — „l”, zaś 3 — „s”.

Wprawdzie „3” występuje w depeszy 13 razy, dość dużo jak na literę „s”, ale niech tam, jeśli jestem na złej drodze, wszystko zaraz się wyjaśni.

Zaczynamy więc od początku. W pierwszym wierszu połączenie drugiej i trzeciej litery daje nam „lo”. Piąta litera — 323 — to zdecydowanie samogłoska. Być może „e”? Wówczas pierwsze sześć liter z dużym prawdopodobieństwem może znaczyć „flower”, czyli kwiat. Podstawiłem ustalone już litery do tekstu i natychmiast zrozumiałem: nareszcie wychodzi! Niech żyje „Złoty żuk”!

Po siedmiu minutach na stroniczce notesu widniał cały rozszyfrowany tekst.

*„Flower got one o forts bd St. Helena  
Worms got heatbombs bd Xmas via Socotra  
Ocean got cruiser guts rip up Faroes  
eom  
Hypejets sale def so Ols”*

Teraz jasne, czemu komputer nie dał sobie rady z odczytaniem. Kierował się przecież standardowym programem analizy częstotliwości i uparczywie trzymał się wersji, że najczęściej powtarzający się wyraz kodu odpowiada literze „e”, tak jak to jest naturalne dla języka angielskiego. Jednakże w tym tekście rekord częstotliwości była

samogłoska „o”.

Gotów byłem tańczyć z radości i tylko ciasnota kabiny stała temu na przeszkodzie. Zresztą sytuacja także nie skłaniała do zbyt burzliwego okazywania radości. Oczywiście, prawidłowość odczytanego tekstu nie budziła teraz żadnych wątpliwości, jednak to i owo pozostawało niejasne.

Zastanówmy się. „One o” znaczy zapewne cyfrę 10. Bd — skrót wyrazu „bound — «udający się», «gotowy do wyruszenia»”. „Xmas” znaczy „Christmas”, „Boże Narodzenie”. Oczywiście, chodzi tu o Wyspę Bożego Narodzenia. „Eom” — to bardzo znany skrót „end of the month” — „koniec miesiąca”. Najdłużej, minutę lub dwie, łamałem głowę nad trzyliterowym skrótem „def”. W angielskim tak zaczyna się ze sto słów, a z nich ze trzydzieści pasuje do tekstu. Stałem na czasowniku „define” — „określać”. Wreszcie sd znaczy zapewne someday.

Nadeszła chwila, gdy do pamięci komputera mogłem wnieść przekład kryptogramu.

*„Kwiat” dostał dziesięć twierdz, kierunek — Święta Helena. „Robaki” dostały bomby termiczne, kierunek — Wyspa Bożego Narodzenia przez Sokotrę. „Ocean” dostał nadzienie skrzydlatych rakiet, wybierać się je będzie na Wyspach Owczych pod koniec miesiąca. Termin sprzeda-*

*ży naddźwiękowych bombowców zostanie określony później. Olsen”.*

Czyż trzeba wyjaśniać, jak ogromnej wagi tekst miałem w ręku? W lakonicznej postaci zawierał najtajniejsze informacje dwóch aukcji — w Reykjavíku i w Halifaxie. Żargonowe wyrażenia użyte w depeszy wyjaśnić można bardzo prosto: „Kwiat” — to oczywiście Międzynarodowy Zarząd do spraw Energii Słonecznej (jego emblematem jest kwiat słonecznika), „twierdze” rozumieć należy jako bombowce strategiczne B-52G. „Robaki” — tak pewne nie-przychylne koła nazywają reprezentantów OWR, a właśnie Organizacja do spraw Wyżywienia i Rolnictwa zakupiła w Halifaxie dużą partię „gazopalnych” bomb. „Ocean” — jasne, że chodzi tu o Międzyrządową Komisję Oceaniczną, która pozyskała prawo do demontażu wyposażenia „Tomahawków”. No, a „naddźwiękowe bombowce” to „Stelty”, których sprzedaż nie doszła do skutku.

Cóż mi do tego, kto jest adresatem tej depeszy? Najważniejsze, że mam w ręku nieodparty dowód: w świecie działa tajna organizacja militarystyczna, osławiona łoża, „komitet zbrojeń”, który systematycznie zbiera informacje o zdemontowanej, względnie wypatroszonej broni. Szykuje się do tego, by pewnego pięknego dnia położyć swą chciwą rękę na broni i postawić globowi ziemskiemu

ultimatum. Kto należy do tej organizacji — na razie nie wiadomo. Wiem tylko tyle, że wśród jej agentów są dawni pracownicy CIA.

Do rozwiązania pozostały dwa zadania: zadanie minimalne — zapoznać cały świat z moim odkryciem i maksymalne — odebrać Leytonowi jego komputer. „A więc od obrony przechodzisz do natarcia?” — zapytałem sam siebie. I sam sobie odpowiedziałem: „Najwyższy już czas”.

Jak przekazać wiadomość w świat? Od tego, jak sobie z tym poradzę, zależy taktyka mojego kontaktu z Leytonem. Co prawda, jeśli teraz w „Stratoport” walnie rakieta, na nic się nie zdadzą żadne taktyki. Z rakieta jednak podejrzenie zwlekają.

Rakieta... Stop! Już wiem, skąd się wzięła. Wcale nie z samolotu — obcy samolot natychmiast zostałby dostrzeżony przez system „swój — obcy”. Do naszego „Stratoportu” oddano strzał z łodzi podwodnej. Jakaś nie zarejestrowana łódź wynurzyła się na otwartym morzu, wystrzeliła raketę i znów zanurzyła się w głębinie. Dlatego właśnie nie było drugiego strzału: różnica szybkości. Nie wynaleziono jeszcze łodzi podwodnej, która mogłaby współ-zawodniczyć w szybkości z naszą stacją powietrzną.

Doskonale, nasz „Stratoport” będzie żyć... A ja? Ja jeszcze powalczę.



Ale co robić z depeszą? Gorączkowo rozglądałem się choćby za cieniem rozwiązania. I wtem olśnienie! Już po raz kolejny. Jestem przecież w toalecie! System asenizacyjny „Stratoportu” działa następująco: cała zawartość jest gromadzona w pojemniku śluzowym, skąd automatycznie wyrzuca ją za burtę sprężone powietrze. Automat, o ile pamiętam, włącza się po pięćdziesięciu naciśnięciach pedału spuszczenia wody.

Włączyłem kanał dźwiękowy komputera i zwięźle zrelacjonowałem istotę mego odkrycia. Zajęło mi to ze dwie minuty. Zmęczyłem się, ale za to zmieściłem wszystko: i sposób, w jaki przejąłem depeszę ridarem, i treść szyfrogramu, i zabójstwo Falejewa, i śmierć Merty, i nieszczęsnego fajtlapę, a nawet mityczną panią, która zaprosiła mnie na miejsce 17-F, zaraz potem zaatakowane wiązką promieni. Wspominałem także o łodzi podwodnej wskazując kwadrat oceanu, w którym należy jej szukać. Tekst zakończyłem słowami: „Idę na Olsena”.

Do zrobienia pozostało niewiele. Wprowadziłem program cyfrowej kompresji pakietu informacji, włączyłem repeter i przełączyłem radiostację na nadawanie we wszystkich zakresach. Sygnały nie przebijają się przez kadłub „Stratoportu”, ale pomocny mi będzie system asenizacyjny. W kieszeni miałem torebkę plastikową (zgodnie ze starą zasadą wszystko, co niezbędne, noszę z sobą). Włożyłem do torebki komputer zamieniony obecnie w

stację nadawczą o dużych możliwościach emisji, a następnie społem brzegi plastyku metalowym grzebieniem, rozgrzanym zapalniczką.

Uderzeniem nogi rozbiłem fajans muszli i do poszerzonego otworu ostrożnie opuściłem hermetycznie osłonięty komputer. Wierny ty mój przyjacielu... Głupie sentymenty. Zacząłem naciskać na pedał i po trzydziestym szóstym naciśnięciu dobiegło mnie przytłumione chlupnięcie pneumatyku. Komputer spadł w otchłań powietrza.

Będzie lecieć przewalając się z boku na bok i nim spadnie, zdąży z pięćset razy przekazać na wszystkich zakresach informację tak konieczną dla świata.

I dla Pokoju...

Radio pokładowe informowało o przesiadce na wahadłowiec idący do Nassau. Mój lot. Mam być w Nassau na kolejnej aukcji. Czy pozwolą mi wsiąść do tego wahadłowca? Jestem im wciąż jeszcze potrzebny czy już nie?

— Prosimy o przesiadanie — powtarzał steward.

I w tej chwili ktoś mocno szarpnął klamką u drzwi.

Wszystko jasne!

Drzwi w tej toalecie odsuwają się w lewo. A więc ja odsunę rygielek, zaszczyt zaś otwierania drzwi niech przypadnie Leytonowi. Gdy tylko rygielek przemieści się wraz z drzwiami w lewo, błyskawicznie zaatakuję poczwórnym uderzeniem z prawej strony: kantem dłoni, łokciem, kolanem i kantem stopy. Lewą ręką i obrotem

tułowia zablokuję ciosy przeciwnika. Wyobraziłem sobie postać Leytona za drzwiami, oznaczyłem słabe punkty. Głęboki wdech. Lewą rękę położyłem na rygielku.

A może wcale nie tak? Skulić się, wyskoczyć na korytarz, umykając przed uderzeniami i gdy tylko Leyton (jeśli to właśnie Leyton) dostrzeże dziurę w muszli i momentalnie wszystko zrozumie, obrócić się do niego i wrzasnąć na cały „Stratoport”:

— Na Boga, kogo widzę! Naprawdę to ty, Olafie? Olaf Olsen. Co za spotkanie! Witaj, drogi Olafie!

I wywlec go, szeroko uśmiechając się i klepiąc po plecach, do przejścia w salonie, objąć, dusząc go tak, by trzeszczały kości, ustalić, w której kieszeni ma komputer, wyciągnąć go i pryskając śliną wołać o osiemnastu latach, o Adriatyku i o Mercie.

Czy Leyton podejmie tę grę czy też nie? Jeżeli podejmie, to kiedy się połapie, że jego komputer, a mój decydujący dowód, przewędrował do mnie — zanim znajdę się w wahadłowcu do Nassau, czy też później, gdy już będę leciał (czy będę?) nareszcie ku ziemi?

Jeszcze raz głęboki wdech, jak przed skokiem do wody, i odsuwam rygielek.

Przełożył

*Tadeusz Butkiewicz*

## PRZEKŁĘTY I BŁOGOSŁAWIONY

Często przesłuchuję te fony. Za każdym razem zastanawiam się długo, którą wziąć na początek, staram się wyobrazić sobie, czyj usłyszę głos. Wszystkie są jednakowe - różowe klocki nie większe od kostek do gry, bez żadnych znaków, którymi by się różniły poza maciupęńkim indeksem na pierwszej płaszczyźnie. Rozkładałam je umyślnie tak, aby indeks znalazł się na dole. Wreszcie biorę pierwszą lepszą fonę, ostrożnie wstawiam do adaptera i czekam.

Słysząc cichy trzask. Za chwilę w powietrzu narodzi się głos. Czyim będzie głosem - Psychologa czy Fizyka, Mechanika Pokładowego czy Dowódcy - nie wiem, ale zawsze zakładam się jakby sam z sobą. Łudzę się, że jeśli odgadnę, to wkrótce ziści się moje najgorętsze pragnienie i nareszcie zrozumie wszystko. Szansa odgadnięcia jest bardzo duża: stosunek jeden do siedmiu. Siedem fon stoi rzędem na moim biurku, dokładnie tyle, ilu było człon-

ków załogi. Nie wiedzieć czemu ciągle je przesłuchuję i kiedy w pokoju cichnie ostatni monolog, wydaje mi się, że byłem zaledwie o włos od rozwiązania, nie umiałem tylko rozeznaczyć się w jakimś drobiazgu, jeszcze maleńki wysiłek - i z rozproszonych kawałeczków powstanie jasna i wyrazista mozaika-obrazek. Jednakże... to samo wrażenie miałem przedwczoraj, i jutro znów będzie mi brakowało tej odrobinki, pocieszam się więc, że przyczyna tkwi w moim pechu: znowu nic udało mi się odgadnąć, znowu nie wyszedł mi od razu mój wielogłosowy pasjans.

«Wiedza ludzka posuwa się po bardzo dziwnym torze» - rozlegają się pierwsze słowa monologu Fizyka. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że siedzi w fotelu naprzeciw mnie, bawi się swoją kulka-wrzecionkiem i cicho - nie wdając się w szczegóły i nie przytaczając z pamięci formuł, które wyglądają ładnie jedynie na ekranie kalkulatora, natomiast w kształcie słownym wydają się zupełną abrakadabrą - wyjaśnia mi, człowiekowi zupełnie obcemu fizyce, cel eksperymentu.

No cóż, dzisiaj przynajmniej pasjans rozpoczął się całkiem logicznie - od prehistorii. Tylko że ja się spodziewałem Nawigatora...

„...Kto by mógł przypuszczać chociażby dwieście lat temu, że badając materię, zagłębiając się w strukturę świata rzeczy, natrafimy nagle na coś absolutnie niematerialnego, na pustkę, na nic, na próżnię? Jak można w Ni-

czym szukać przyczyny Czegoś? I jeśli to Coś jest całym światem, całym Wszechświatem, to czy mamy prawo marnować siły, energię, możliwości na badanie Nieistniejącego i wysłać ekspedycję nie wiadomo gdzie domagając się od niej, aby przyniosła nie wiadomo co? Owszem, mamy takie prawo...

Prawdopodobnie nie bez przyczyny pytanie, czy pustka jest rzeczywiście pusta, frapowało uczonych od dawna. Przypomnijmy sobie spory wokół bliskiego i zdalnego działania za czasów Newtona. Wróćmy do teorii eteru. Przekartkujmy jeszcze raz Einsteina i zastanówmy się nad jego słowami o „nieważkiej, światłonośnej materii”. Dodajmy do tego niezbyt odległe - zaledwie sprzed stu lat - dyskusje o zerowych wahaniach próżni, a także nasze bezowocne próby zrozumienia grawitacji - bezowocne, tym bardziej, że udało się nam rozszyfrować grawitacyjną strukturę Wszechświata i wykorzystać ją do przesuwania się w przestrzeni - a wówczas rodzi się paradoksalny wniosek: jak bardzo by się wszystko uprościło, gdyby Próżnia też była Światem, Życiem... I jak wiele zrozumielibyśmy w świecie, gdybyśmy mogli powtórzyć za Mefistofeilesem:

*„...Coś i Nic utożsały się”...*

Albo gdybyśmy po nowemu zrozumieli słowa z Tait-

tirii Upaniszad:

*„Zaiste, na początku to było nie-istnienie!  
Zniegoż, zaiste, powstało istnienie”.*

Albo zastanowić się nad powiedzeniem Laocy: „Wszystko, co istnieje w świecie, rodzi się z bytu. A byt rodzi się z niebytu”.

W jaki sposób powstał nasz świat? Skąd zjawiają się gwiazdy? I - najważniejsze - *jak* się zjawiają? Jakież to „łatwiutkie” pytania! I jak niełatwo na nie odpowiedzieć. Na przykład ostatnie *jak* - to ogromna pułapka. Żadna teoria nie wyjaśnia tego maleńkiego słówka, w większości hipotez pozostaje ono białą plamą. Jeżeli zapalimy w przestrzeni gwiazdę - powiedzmy, że zbierzemy megaiłość wodoru, sprasujemy go, nagrzejemy odpowiednio i zainicjujemy w nim reakcję syntezy, nawet gdy otrzymamy dzięki wyliczeniom gwarancję, że reakcja typem i długością nie będzie się różniła od prawdziwej reakcji gwiazdnej, nawet jeżeli zapomnimy na pewien czas, że wodorowy cykl Bethego - jak to udowodniono wiele lat temu - zostaje naruszony, gdy się przystępuje do analizy strumienia neutronów, to czy będziemy mieli pewność, że wyjdzie z tego *właśnie gwiazda*? A może dla gwiazdy potrzeba jeszcze Czegoś? Albo Niczego?

Żonglowanie tymi dwoma słowami interesowało

mnie od dzieciństwa. Nie mieściło mi się w głowie, że poza naszym światem, poza nami i wewnątrz nas panuje zupełna pustka. Że tej pustki w naszym własnym ciele jest o wiele więcej — w znaczeniu przestrzennym - niż substancji, chociaż narzucamy na nią łowczą sieć lub, jeszcze lepiej, sieć maskującą oddziaływania wzajemnego pól. Że odległości między maciupenkimi cząsteczkami, z których składam się ja, są porównywalne z kosmicznymi i że każdy człowiek w istocie, podobnie jak świat, który zamieszkuje, to tylko suma materialnych składników dygocących w niezmiernym niematerialnym wykrzykniku, wobec którego nasza myśl jest bezsilna. Zapragnąłem przekształcić ten wykrzyknik w pytajnik.

Cel życia ujawnił się bardzo wcześnie. Postawiłem sobie za zadanie udowodnić, że próżnia - to „nic” w jednym jedynym, pośrednim, względnym znaczeniu: bez niej nasz świat byłby rzeczywiście absolutną pustką. Niczym. Nie byłoby świata. A więc twierdzenie: próżnia to nosicielka i prarodzicielka materii. Raczej rodzicielka, bo, jak mi się wydaje, materia czerpie się z niej i czerpała zawsze, w każdym mgnieniu. Pierwszą przesłanką była moja praca magisterska o zerowych wahaniach próżni. Wynikało z niej, że można stworzyć przyrząd, który nazwałem próznioskopem - mikroskopem próżniowym. Innymi słowy szczególnie... o mało nie powiedziałem „fotograficzną”... kamerę pozwalającą na robienie momentalnych - w



rzeczywistym sensie tego słowa - energetycznych zdjęć, a nawet „przekrojów”, „cięć” czystej próżni.

Znaleźliśmy ową czystą próżnię. Pozostawał drobiazg - żeby przyrząd działał. Tylko wtedy można byłoby udowodnić, że zawieszeni jesteśmy nie w pustce, lecz w bezbrzeżnym morzu energii. Próżnia - morzem energii!... Ale przyrząd nie działał...

Zdumiewająca rzecz. Dokonujemy hiperświatlnych skoków w przestrzeni, ale nie wiemy, jak to robimy. „*Know-how*” bez „*how*”. Jedno jest zrozumiałe: jesteśmy na właściwej drodze. Opracowaliśmy teorię, teorię nadzwyczaj sztuczną, postulowaną arcydowolnie. Teoria ucieleśniła się w budowie Statku. I statek „przekuł” kosmos! Jak? Za pośrednictwem czego? Z pomocą jakich sił? Jestem przekonany, że nie znajdziemy odpowiedzi dopóty, dopóki nie zrozumiemy istoty próżni.

Nasz świat jest pięciowymiarowy. Wie o tym każdy sztubak: trzy wymiary przestrzenne, czwarty - czasowy, piąty - energetyczny. Próbowaliśmy przedstawić grawitację Wszechświata jako coś w rodzaju liny, której każde włókno jest czterowymiarowym obiektem świata substancji przeciągniętym wzdłuż osi Energii. Już na tym etapie powstaje element majaczenia: nie umiając sobie wyobrazić grawitacji, poszukujemy grawistruktury; nie wiedząc, na czym polega istota przyciągania i co jest jego nosicielem, rysujemy obraz świata; między Wszechświatem a

Grawitacją stawiamy znak równości. A potem zapuszczamy się w sferę fantasmagorii: pragniemy „precisnąć się” między „włókienkami” grawitacji i popatrzeć, co z tego wyjdzie. Precisnęliśmy się. Popatrzyliśmy. Udało się. Momentalne pozaprzestrzenne przerzucenie. I jeszcze raz - Jak? Jeszcze raz - za pośrednictwem Czego?

Za pośrednictwem próżni, powiadam. Próżnia, tylko ona jest tą energią, która rzuca nas, nierozumnych i nie rozumiejących, w inne światy. Energetyczny ocean. Co prawda, jego energia nie ujawnia się, jest ukryta. Chce mi się powiedzieć, że jest wyrodzona.

Zobaczymy, co nam jeszcze daje koncepcja próżni jako bezbrzeżności wyrodzonej energii.

Znamy cztery typy oddziaływań. Idą w następującej kolejności wedle siły i symetrii: silne, elektromagnetyczne, słabe, grawitacyjne. Ostatnie oddziaływanie jest naj-słabsze. Im bardziej symetryczne jest oddziaływanie, tym szybciej je ekranuje próżnia, tym jest jej ono bliższe. Próżnia to najbardziej symetryczny stan, coś w rodzaju punktu wyjścia. Aha! Punkt wyjścia... Czyli początek? Oto o co chodzi. Bo jeśli nie jest to po prostu początek, lecz, by tak rzec, coś macierzyńskiego, rodowego? A jeśli cała mieszcząca się w zapisie „em-ce-kwadrat” naszego świata jest niczym innym, jak tylko pewnym wyskokiem nadmiaru energii z próżni, która będąc wyższym - a nie najniższym! - stanem energii, w jakiś tam sposób napro-

wadzonym na siebie, całkowicie sam siebie ekranuje?

W takim przypadku hierarchia symetryzacji przeistacza się w hierarchię wysokości! Silne oddziaływanie - to pierwotny wzrost energii. Nadmiar nie mieszczący się na tym poziomie, to oddziaływanie elektromagnetyczne. Następny nadmiar - to słabe oddziaływanie. Ostatni - to grawitacja. Ale powstaje pytanie: wedle tej samej logiki i na poziomie oddziaływania grawitacyjnego nie musi zostać wykorzystana cała energia; gdzie podziewa się *jej* nadwyżka? Jedyna odpowiedź. Moja odpowiedź: odpływa z powrotem do próżni. A nawet więcej, właśnie ów „odpływ” wykorzystują nasze - nie wiadomo jak „skaczące” - Statki. Właśnie ta ostatnia nadwyżka stanowi swoisty „smar” dla prześlizgiwania się między włókienkami linopodobnej struktury Wszechświata.

Każdy, kto słucha tej fony, zauważy, że mówię już: linopodobna struktura Wszechświata - a nie grawitacji. To zrozumiałe. Z grawitacją wszystko jest już jasne: nie jest ona Wszechświatem, a tylko wydechem wykorzystanej na poprzednich poziomach energii. Natomiast Wszechświat - to rzeczywiście, jak wskazywał jeszcze sto lat temu Kurbatow, czterowymiarowa wielość w piątym wymiarze. Z tym, że piąty wymiar to nie jest zwyczajna energia. To energia zrodzona przez Próżnię...

A przyrząd nie działał... Nie udało się naszemu „marniście” narysować oceanu energii... Działaliśmy my,

nasza psychika. Ale w przedziwny sposób. Statek wbił się w wydech, złapaliśmy próżnię i... Ja na przykład miałem dzikie odczucie. Pierwsza myśl, że rozerwał mnie wybuch. A potem: nie, to wybuchnął mój mózg. Następnie: nie, mózg funkcjonuje, ale nie ma ciała. Czyli że wybuchło ono. I przekształciło się w obłok, fontannę, wodospad barw, zorzę polarną, psychodeliczny miraż, fatamorganę.

W istocie ta fona jest próbą wyrażenia słowami tego, co widziałem i odczuwałem w momencie eksperymentu. Wszystko, co powiedziałem powyżej, to preludium, odroczenie, chęć odsunięcia przez te niezdarne rozważania owego mgnienia, bo opisanie tego, co mi się przydarzyło, jest ponad ludzkie siły. Ale mgnienie nastąpiło. Więc spróbuję, tym bardziej, że fona się kończy.

Ile jest barw w tęczy? Siedem? Od razu po „wybuchu” widziałem siedemdziesiąt siedem. Albo może siedemset siedemdziesiąt siedem. Nie odcieni, nie niuansów kolorów, lecz samych kolorów! Jak to może być? Nie wiem. Uwierzyć w to nie sposób. Nie uwierzyć - również: to było. W moim poszarpanym ciele, w mojej rozczłonkowanej świadomości, ale było.

Barwy roily się, łączyły się w jakieś niewyobrażalne bukiety, rozpadały się, wirowały w przecinających się korowodach, i wszystko to w nieskończenie wartkim tempie, w upajającym zapachu fiołków. Nie było możliwości

zatrzymania spojrzenia na jakiejś kompozycji barw... Spojrzenie... Proszę, powiedziałem „spojrzenie”. A także: „zapach”. Czy miałem oczy? Nie. Nos? Nie! Uszy? Nie! Kończyny, serce, wątrobę, nerki, płuca? Nie, nie, nie...

Była świadomość i... siedemset siedemdziesiąt siedem kolorów rozbestwionej tęczy; siedemset siedemdziesiąt siedem zwariowanych zapachów. Później na tym iskrzącym się kalejdoskopowym tle, nad tym klombem fantastycznych orchidei ukazały się żółte smoliste pąki. Szybko pęczniały, pękały, ale z ich wnętrza nie wysuwały się lepkie zielone listki — tryskały potoki przenikliwie czerwonego, pachnącego cytryną koloru.

...Powstała spokojna purpurowa gładź, a po niej pełzły, pełzły fioletowe, granatowe, błękitne, liliowe, różowe, woniejące goździkami kleksy; kleksy czerniały, ale nie stawały się zupełnie czarne, raptem pokrywały się cytrynową albo bursztynową, albo złocistą anyżową błonką, a ta bulgotała amoniakiem, kipiała burą pianą, przebijały się przez nią szmaragdowe kolendrowe bąbelki. Te bąbelki wlatywały jak balony, nadymały się, ale nie pękały, nie odrywały się od perłowej gładzi pachnącej już teraz sianem - wyrastały w duszne kolumny emanujące siarkę, a między nimi były oślepiające promienie.

Promienie miały ziarnistą strukturę, po ich powierzchni wiły się srebrne nici i oto pojawia się migdałowa koronka srebra, arabeski w kształcie laurowych liści,

pistacjowe spirale, muszkatołowe pałaki, mentolowe pierścienie, kawowe wijące się jak żmija linie punktowe, lipobarwna szafirowa mgła, sandałowcy diamentowy blask, cynamonowe kryształowe migota-nie i nici grubieją, stają się przejrzyste, a w nich - gra światła, pył foliałów, słoneczne zajaczki, jodowe wodorosty, iskierki, wypalone leśne polany, zwichrowanie, mięta, jeszcze jeden wybuch, znów orgia miliona barw i odcieni, lekki podmuch z ogrodu botanicznego, drzwi wschodniej kuchni otwarte na oścież, zaduch laboratorium alchemika, dymy kadzidlane bóstwom, znowu pąki, kolumny, kleksy, bąbelki, piana, srebrna serpentyna, jeszcze wybuch, ale wybuch na odwrót - i wszystkie występujące odrębnie, zabarwione zorzą poranną i przy-pływem południa, i obłokami zachodu, i księżycowym gajem, i wieczorną rosą części należącej do mnie całości skupiają się w oślepiającym punkcie mojego „ja”, przeistaczają we mnie cielesnego...

Zerknąłem na chronometr naszego statku. Eksperyment, tak jak to było przewidziane w planie, trwał minutę. Ja natomiast spędziłem w piekle kolorów - a może w raj? - godzinę, rok, wieczność... nie wiem ile. Czasu Tam nie było. Nie zdążyłem się obejrzeć, by dowiedzieć się, co się stało z załogą: runął na mnie mrok. Przyćmiła się świadomość, a czas runął jeszcze raz, tym razem w otchłań czerni pozbawionej zapachu...”

Znów rozległ się cichy trzask. Fona się skończyła. A

ja przypominałem sobie znowu dzień, kiedy ekspedycja wróciła na Ziemię. Pamiętam, jak tylko się dowiedziałem, że załoga przeszła „kontrolę”, natychmiast wyprowadziłem z postoju „kwadrygę” i popędziłem do Psychologa. Chciałem pierwszy dowiedzieć się wyników eksperymentu i nie przypuszczałem, że Psycholog odmówi: łączyła nas stara przyjaźń. Osiem lat temu, w dniu pełnoletności, razem zdawaliśmy specjalizację.

Pomknąłem „kwadrygą” górną warstwą szosy. Prawdę mówiąc, było to niezbyt rozsądne: szwankował tylny lewy zespół. Ale ewentualność awarii, czyli przerwy w jeździe, była nader mglista, toteż pędziłem nad „trierami” i „pyłkami”, powolnymi „faetonami” i „najadami” opanowany jedną myślą: czy eksperyment się udał, czy nie. Introspekcja próżni - oto, o czym myśleliśmy wówczas.

Nieoczekiwanie coś ukłuło mnie w nogę. Stało się! „Chory” zespół przestał funkcjonować. Zgasilem natychmiast pulsację i przebiłem niebieskawą mgiełkę błonki, wjeżdżając do prawego rzędu drugiej warstwy. Oczywiście, że nadzieja dojechania do celu z mniejszą szybkością zaledwie na trzech zespołach okazała się złudna. Uszkodzenie groziło zaczopowaniem całego systemu ruchu, toteż dyspozytornia przejęła kierowanie „kwadrygą” i wkrótce dreptałem wokół maszyny w warstwie zerowej posyłając rozpaczliwe sygnały pomocy. Ulitował się nade mną woźnica „faetonu”. Jechał właśnie ze świeżymi owo-

cami do dzielnicy, gdzie mieszkał Psycholog, i zgodził się stracić kilka minut, by zjechać do „zerowej” i zabrać mnie ze sobą.

Krócej mówiąc, trafiłem do Psychologa godzinę później, niż miałem zamiar. Ta godzina zadecydowała o wszystkim. W drzwiach zderzyłem się z grupą lekarzy. Siwawy mężczyzna idący na przodzie niósł diagnoster.

- A jak się pan o tym dowiedział? - zapytał mnie ostro i ze smutkiem.

- O czym „o tym”? - nie rozumiałem i dopiero wtedy zauważyłem na postoju pojazdów wydłużoną sylwetkę reanimacyjnego „rapida”.

- Jechał do żywego, a nie do nieboszczyka - szturchnął w plecy tego pierwszego ktoś z grupy, widać lekarz sądowy.

- Jak to do nieboszczyka? - wydusiłem z siebie, domyślając się już, lecz nie wierząc, nie chcąc wierzyć.

- Wylew krwi do mózgu... - Lekarz z diagnosterem wzruszył ramionami i zwalniając nieco kroku ruszył do „rapida”. A w domu zaczęła się milcząca, obca i niewłaściwa dla tego mieszkania krzątanina...

Monolog Psychologa wybieram umyślnie. Pragnę usłyszeć jego głos. Chęć stawiania na przypadek przeszła mi. Poza wszystkim innym ta fona zasługuje na moją szczególną uwagę. Ona jedna, w odróżnieniu od reszty, nie jest przypadkowym zrodzonym z ekstremalnej sytu-



cji zapisem chaotycznych myśli i wstępnych, pochopnych wniosków. To dźwiękowy list posiadający swojego dokładnego adresata. Trochę to dziwna forma, jeśli szczegółowo wyobrazimy sobie moment powrotu ekspedycji. Pierwsze godziny na Ziemi, eksperyment jeszcze nie został przemyślany, jeszcze trzeba wyjaśnić zachowanie się przyrzędów, odczytać encefalogramy - tym bardziej że nie wiadomo, czy to się uda, myśli rozpierzchają się, dyktować chce się to, co pierwsze przychodzi do głowy. I raptem - list... Nie do żony, nie do córki, co byłoby naturalne. List jest zaadresowany do mnie...

„Witaj, przyjacielu! Jak by ci najlepiej objaśnić, co się z nami stało? Spróbuj się nie dziwić: nie mam pojęcia. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. A najgłupsze w tej historii jest to, że nikt nie mógł nawet przypuścić, iż nasza ekspedycja rozbije sobie łeb między innymi o barierę psychiczną.

Moja rola była na pozór drugorzędna. Wiesz przecież, że najbardziej byłem zajęty we wstępnym stadium przygotowań, kiedy syntetyzowaliśmy zgodność psychiczną załogi, braliśmy pod uwagę najrozmaitsze niepowodzenia i staraliśmy się zawczasu sprowadzić do zera wszystkie związane z tym zjawiska depresyjne, a co najważniejsze - przygotowywaliśmy załogę do pokonania „rubieży pojmowania”. Inaczej mówiąc, szukaliśmy sposobów, aby rozum każdego był w stanie przemoc szok

wywołany spotkaniem z Niewiadomym, bez względu na jego „ekstrawagancję” w pierwszym znaczeniu tego słowa. W przestrzeni moje funkcje sprowadzały się do minimum: kontrola, kontrola i jeszcze raz kontrola. No i oczywiście bionadajniki i bioczujniki.

Wynik, z którym chcę cię zapoznać, jest opłakany. Widocznie będę główną figurą przy analizie rezultatów... a boję się, och, jak się tego boję! W głowie nie mam ani jednej pozytywnej myśli. To po pierwsze. Eksperyment spotkało całkowite niepowodzenie, ale ewentualności takiego niepowodzenia nie przewidzieliśmy i nie mogliśmy przewidzieć. To po drugie. A po trzecie, choć to nie jest rzecz ostatnia: rzeczywiście zetknęliśmy się z Niewiadomym, jednakże owo Niewiadome okazało się nie tylko poza sferą naszego pojmowania, ale nawet poza sferą tego, cośmy w okresie przygotowań nazywali ironicznie „ekstrawaganckim”, czyli poza sferą „nadprzyrodzonego”.

Zastanów się sam. Robimy doświadczenie nad próżnią. Udała się część techniczna programu: zapędziliśmy w pułapkę pustkę. I... z eksperymentatorów przekształciliśmy się natychmiast w króliki doświadczalne. Coś zaczęło robić eksperyment na nas. Przy czym skala tego nieoczekiwanego doświadczenia, jego cel, mechanizm okazały się wyraźnie ponad siły naszych - niestety, „gotowych na wszystko” - mózgów.

Opowiem krótko o biometrii. Na przykład kardiogramy: równiutkie równoległe linie. Szczytów, załamań czy choćby drgnień nie ma... Ergo, serca nie biły, czyż nie tak? Oddech - 80 wdechów na minutę. I to przy pełnym zatrzymaniu się serca! Jeżeli wierzyć samopisom. Ciśnienie: górne - norma, dolnego - *nie ma!!!* Przyrządy nie zarejestrowały. Temperatura ciała - ujemna! Potencjał energii ciała zerowy, natomiast napięcie mięśni - całkowita katalepsja. Nie będę cię zapoznawał szczegółowo z encefalogramami, powiem tylko: wszystkie rytmy zwariowały. Albo zwariowały bioczuJNIKI. Albo ja zwariowałem. Jak sądzisz, co? I weź pod uwagę: ogólny diagnoster daje wynik: stan załogi w granicach normy, odchyień patologicznych nie ma, a wskaźnik odruchów - sam jeden w całym przyrządzie! - stoi jak martwy na skrajnym punkcie czerwonej podziałki, oznaczającym głęboką śpiączkę. Tak to wygląda...

Co się zaś tyczy encefalografii, to mogę tu powiedzieć tylko to jedno. I moje słowa potwierdzają nie sensorycznograficzne dane wyjściowe, których po prostu nie potrafię odczytać, lecz, by tak rzec, nasz ustny „heptameron”. Bo, wiesz, przed wejściem w atmosferę Ziemi i lądowaniem pokrzyżyliśmy trochę po eliptycznej orbicie, opowiadając sobie nawzajem, co każdy z nas widział w momencie eksperymentu. Prawdę mówiąc, jest to wstrząsająca kolekcja nowel. Choć nie ulega wątpliwości, że pa-

ranoicznie absurdalna, niewytłumaczalna pod każdym względem.

Krótko mówiąc, wyłączyła się świadomość każdego z nas. Dokładnie w zerowym momencie wyliczania. Ale zwróć uwagę: nie było to omdlenie ani stan nieświadomości, ani śpiączka bez względu na to, co by tam bzdurzył wskaźnik. Świadomość odgrodziła się od rzeczywistości i przeniosła się w jakąś inną rzeczywistość. Dlaczego i jak to się stało, a także dlaczego nam wszystkim roił się nie ten sam obraz, lecz różne, dlaczego w mózg każdego rzutowało coś niepowtarzalnego i szczególnego i skąd to rzutowało - oto pytania, które nękają nas wszystkich.

Obrazek powstały w mojej głowie nie był szczególnie dziwny. Oczywiście, w porównaniu z innymi. Ot, coś w rodzaju przeciętnego i spokojnego snu.

Licznik odstukał „zero”, równocześnie z nim włączył się chronometr i... znalazłem się w domu. A tak, tak. Właśnie w domu, na Ziemi. Siedzę wieczorem przy stole. Naprzeciwko - żona, po prawej stronie - córka. Po lewej - coś tam gra holowizor. Stare przedstawienie, coś jakby z naszej wideoteki. I siedzimy sobie cichutko, spokojnie, pijemy herbatę z tonizatorem.

Pierwszą moją myślą było, kiedy już skończyło się wszystko, że odrzuciło mnie w przeszłość. Tak ze trzy lata wstecz. Tym bardziej, że nie mogę od razu się zorientować, nie mogę wspomnieć szczegółów, wszystko zatar-

ło się w pamięci, rozplynęło - zupełnie jak w życiu, kiedy do głowy przychodzi raptem jakieś błahe wspomnienie. Zmobilizowałem się trochę później: obrazek zrobił się wyraźniejszy, szczegóły uwypukliły się. I dopiero wtedy dostrzegłem dziwne rzeczy. Trudno od razu powiedzieć, co i jak, ale to wyraźnie nie był przerzut w przeszłość, tylko widzenie. Halucynacja. Ze mną takie historie. Ze mną - sprawdzonym na wszelkie sposoby!!!

Żona ma niby takie same rysy twarzy, a równocześnie jakby jakieś inne, podobieństwo wyraźne, ale kiedy się przyjrzeć, to nie ma podobieństwa. Czy raczej jest, ale niepełne. Jakby ktoś według pewnych współrzędnych stworzył wygląd, ale albo wziął swój punkt wyjściowy do obliczeń, albo wymierzył proporcje inaczej, albo tylko według jednej osi - a może nawet według wszystkich naraz - zaznaczone są szczególnie linie podziałki, cokolwiek inne od przyjętych, czy też odstępy między podziałkami są niewspółmierne. Podobna historia z córką. To przecież bliskie, znajome do najdrobniejszego pieprzyka na policzku twarzy, a równocześnie... obce, niebliskie, inne.

Następnie: stół, przy którym siedzimy, to też mój stół, ten sam, co stoi w pokoju gościnnym. Ale abrakadabra trwa. Ten, a jednocześnie nie ten. Może odcień nieco inny. Może kształt, wymiary... Pfu, nie sposób rozpoznać! I herbata: aromat znakomity, a smaku nie ma. Czy może nie zapamiętałem go po prostu. Niewykluczone jednak, że

smaku nie było. Podobnie jak w tonizatorze. Chociaż było wrażenie, że pijemy ją właśnie z tonizatorem!

Następny szczegół to owo przedstawienie, które oglądaliśmy w holowizji. Nie mogę sobie przypomnieć, co to było za przedstawienie. Nie mogę, choćbyś mnie zabił! Czy je oglądałem kiedykolwiek? Niewątpliwie. Gdzie? Kiedy? Co to za teatr? Co za aktorzy? Nie potrafię odpowiedzieć. Diabelskie sztuczki!...

I ostatnia sprawa. Pokój, w którym siedzieliśmy. Najpierw odbiór był wyraźny: to pokój gościnny w naszym domu, tak jak być powinno. Później zacząłem wątpić. A jeszcze później zrozumiałem, że wątpiłem słusznie: to nie pokój gościnny i w ogóle nie pokój, lecz diabli wiedzą co! Ściany niby były i nie było ich. Sufit był i... w tym samym czasie go nie było. Podłoga to nie podłoga, lecz jakaś teoretyczna świadomość oparcia pod nogami. Krótko mówiąc, wiesz, do czego to było podobne? Do gotowego odczucia zamkniętej przestrzeni równej objętością naszemu pokojowi gościnnemu. Ale tylko objętością. Jak powstawały granice owej objętości: dzięki materialnym płaszczyznom czy szczególnej ekranizacji - nie rozumiem do tej pory...

Na razie wysnułem jeden wniosek. To nie była przeszłość, tylko model przeszłości. Tak! Jakiś mimo wszystko model. A utwierdza mnie w tym przekonaniu co następuje: z minuty na minutę coraz bardziej wydaje się, że ów

spektakl - holowizyjny - nie był odrębnym przedstawieniem, wideogramem, lecz bardzo dobrze zestawioną mozaiką z fragmentów wszystkich - wszystkich! - przedstawień, które oglądałem w ciągu całego życia...”

Zabrakło trzasku. Fona Psychologa była zapisana nie do końca i czujnik głosu maca dalej krążek taśmy spodziewając się, że znajdzie nową informację. Wiem, że jej nie będzie, ale nie ruszam się i nie wyłączam adaptera. Posiedzieć, pomyśleć... Zapomnieć. Wszystkie wieczory mam zajęte tylko tym. Często zapytuję sam siebie: po co mi to potrzebne? Ostatecznie, nie jestem specjalistą, nie jestem członkiem żadnej komisji, jestem po prostu bliskim przyjacielem Psychologa, znałem trochę również pozostałych członków załogi. Nikt mnie nie prosił o pomoc, moje wnioski, jeśli nawet je wysnuję, nie zainteresują chyba nikogo, ponieważ nie posiadam bazy wystarczającej do naukowego uogólnienia danych fizykotechnicznych. A mimo to borykam się i szukam...

Może bodźcem był list? Tak, właśnie. Zostałem wciągnięty w tę historię, pamięć o przyjacielu nie daje mi spokoju. Właściwie potrzebne mi są tylko moje kopie foniczne. Statek? Niech inni badają go drobiazgowo. A ja widzę sens w czymś innym: w pytaniach, nękających Psychologa. Co za tajemnica kryje się w widziadłach, z którymi zetknęła się załoga? Dlaczego są różne? Co wpłynęło na psychikę wytrenowanych przecież ludzi? I -

dodam od siebie - czy w halucynacjach nie ma odpowiedzi na całą zagadkę eksperymentu?...

Pomyślałem teraz o Statku i przypomniałem sobie natychmiast, jak po raz pierwszy zobaczyłem zabawkę Fizyka.

Było to długo przed eksperymentem. Przyjechałem wówczas do Fizyka w jakichś nie-zbyt ważnych sprawach, ale nie zastałem go w domu. Widać, wezwano go nieoczekiwanie, bo był nadzwyczaj punktualny i, jeśli się umówił, nigdy nie kazał na siebie czekać. Ponieważ ze wszystkich pojazdów na postoju brakowało tylko „spurta”, było to dowodem, że wezwano go nagle i pilnie.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zwinąć manatki. Ale postanowiłem przedtem wejść do wnętrza i pozostawić gospodarzowi fonę. Rzecz naturalna, że można było - i wedle wszelkich reguł należało - zrobić to na podwórku dla gości. Ale pobudzany niezdrową ciekawością postanowiłem wejść do gabinetu i - dla kawału - zameldować o wizycie w bloku „roboczej pamięci”. Cóż robić, bardzo pragnąłem dowiedzieć się, jak wygląda „święty przybytek” uczonego. Tym bardziej że samemu gospodarzowi nie przyszłoby do głowy, iż jego „cela” może wzbudzić zainteresowanie kogoś z gości.

Wszedłem do gabinetu... i natychmiast pożałowałem swojej nienasyconej ciekawości. Gabinet jak gabinet, zwyczajne miejsce pracy, nic nadzwyczajnego. Stół, pul-



pit „roboczej pamięci”, aparat informacyjno-zamówieniowy, kartoteka, fonoadapter i seryjny „sekretarz” - oto całe wyposażenie gabinetu. Sam nie wiedziałem, co spodziewałem się zobaczyć. Najpewniej w mojej wyobraźni powstała wizja jakiegoś artystycznego nieładu. Nie starte w „pamięci” urywki myśli, strony najnowszej monografii na ekranie aparatu zamówieniowego, na wpół ukończony rękopis w „sekretarzu” i tak dalej...

A wszystko wyglądało inaczej. W „celi” panowała nieskazitelna czystość i wzorowy porządek. Nic nie wskazywało, że to tu właśnie rodzą się oszałamiające teorie i że stąd wyfrunęła idea Eksperymentu zagrażającego podstawom porządku świata. A tu muzeum techniki organizacyjnej i nic poza tym. Nawet stół-kalkulator, który w żadnym razie nie mógł rano być bezczynny, przybrał triumfalnie-święteczny wygląd, jak gdyby ani jeden logarytm nigdy nie obciążył jego mózgu, o całkowaniu nie miał nawet pojęcia i w ogóle był obiektem modlitewnej czci, niedotykalnym idolem, skarbem pogańskiej kontyny.

Mylilem się jednak. Na matowym blacie stołu stał jakiś dziwaczny przedmiot. Jedyne, który wnosił dysonans do złudnego spokoju rzeczy. Była to niewielka, lekko spłaszczona kula czarnego koloru z ledwie wyczuwalnymi wypukłościami na biegunach. Wypukłości te łączyła cienka biała linia. Z lękiem pokręciłem kulę w rękach i nagle stało się z nią coś. Nie wiadomo co, ale jak gdyby

drgnęła, wydała ostry głośny dźwięk i oto miałem już w rękach jakby wrzeciono, tak samo czarnego koloru i z białym paskiem od ostrza do ostrza.

Pokręciłem znowu zabawkę i znów rozległo się ostre klaśnięcie, wrzecionko zadygotało i przekształciło się w kulę. Zabawiałem się z pięć minut dziwnym przedmiotem, dopóki nie spostrzegłem, że zmienia kształt przy naciśnięciu bądź na wypukłości, bądź na ostrza. No cóż, dziwactwo jest dziwactwem. Czemuż by utalentowany i młody jeszcze fizyk nie miał w wolnych chwilach konstruować przestrzennych łamigłówek lub pokazywać domownikom topologicznych sztuczek? Cóż mi do tego? Wlepiłem w „pamięć” na chybcika ze dwa - trzy zdania: że przykro mi z powodu nie odbytego spotkania i przepraszam za bezceremonialność, po czym wyszedłem z domu.

Po kilku dniach spotkałem się jednak z Fizykiem. Obgadaliśmy wszystko w ciągu pół godziny i to spotkanie wyleciałoby mi z pamięci, gdyby nie pewna okoliczność. W czasie rozmowy Fizyk sięgnął do kieszeni i wyjął z niej bezwiednie... to samo wrzecionko. Zagapiłem się na znajomą zabawkę, lecz on, nie dostrzegając tego, kontynuował rozmowę. Nagle rozległ się trzask, uczoney drgnął, rozluźnił palce i pod stół spadło nie wrzecionko, ale czarna kulka. Podniosłem ją i oddałem właścicielowi. Ten speszył się zamruczał coś i chciał położyć zagadkową za-

bawkę do kieszeni, lecz powstrzymałem go. Tak po raz pierwszy usłyszałem o Statku. Kulka-wrzecionko była jego makietą...

Spośród pięciu pozostałych klocków znów biorę pierwszy lepszy. Tym razem nic nie wróżę, po prostu czekam bez pośpiechu. Mechanik Pokładowy.

„To był sen. I to była jawa. To była mistyka. I było to po tamtej stronie realności. Albo w ogóle nic nie było!

Należy ład świata: poza materią - pustka.

Podejście godne świadomości: „wewnątrz pustki” - oksymoron.

Naturalna subordynacja: substancja jako obraz bytu - pole jako system związków - próżnia jako zero substancji lub pola.

Marzyliśmy o wprowadzeniu poprawek do tych trzech formuł.

„Treści” pustki użyć sensu.

Udowodnić, że próżnia to nie zero, lecz zerowy stan energii. Zerowy, ale przecież *stan*.

I w ten sposób przedstawić Wszechświat jako ciąg próżniowo-substancjonalny czyli myśleliśmy o takiej oto subordynacji: urzeczowiona energia - energia pola - wyrodzona energia.

Wyobrażaliśmy sobie, że nie ma niczego więcej. A okazało się, że jest coś więcej. Albo też jest *zamiast*. Ale *co?* Dlaczego zamiast wyrodzonej energii ujawniły się

wyrodku naszej świadomości?

Istnieje starodawny chwyt: wypowiedzieć się, znaczy uświadomić sobie. Jestem pewny, że mi się nie uda. Ale muszę spróbować. Inaczej utrwali się szaleństwo, a strach przeistoczy się w przerażenie.

Trafiłem do dzieciństwa. Mojego dzieciństwa. Rozdwoiła się jaźń. Odczuwałem siebie jako dziecko. Nie w emocjach i wypowiedziach, lecz jako dawne dziecko z przeszłości. Zniknęło dwadzieścia lat życia. A równocześnie postrzegałem siebie z boku. Twarz i wygląd zewnętrzny odpowiadały temu, co było kiedyś. Rzadkie jasne włoski, krótkie spodenki, rajstopy, klej bakteriobójczy na podrapanych łokciach... Podobny jestem do dziewczynki... Stereofotografia z albumu rodzinnego...

Męczył mnie ważny problem: czy mieszanka smacznych potraw jest smaczna? Na przykład konfitury z jeżyn, pikle i surowe ciasto. Albo inaczej: majonez, krem cytrynowy, kasza gryczana z mlekiem. Dziwne dziecko: lubiło kasze. Pomieszać by to wszystko w miednicy! I jeść łyżką. Powstrzymywało tylko jedno: miednica była schowana u mamy.

Pachniało lodami waniliowymi.

Opuściły mnie głębokie myśli: spotkałem się z przyjaciółmi. Idiotyzm polegał na tym, że *moje* dzieciństwo, które powróciło w absolutnej próżni, zetknęło się z dzieciństwem *załogi*. Nikogo z nich nie znałem dwadzieścia

lat temu, w tym sęk! Poznaliśmy się podczas kompletowania. I nigdy nie widziałem ich fotografii z dzieciństwa. Przed powrotem na Ziemię - kiedy wymienialiśmy „wyrodki” - opisałem każdego, jakim go widziałem „we śnie”. Potwierdzili. Ich zdumienie przewyższało moje: podobieństwo było aż do najdrobniejszych szczegółów. I sposób myślenia był podobny. O tyle, o ile pamiętają siebie samych.

Zdziecinniałem. Przypuśćmy. Słuszniej byłoby: „mnie zdziecinniano”. Coś wpływało na mózg wyzwalając wspomnienia. Było to w istocie rzeczy majaczenie: pustka dookoła. Ale weźmy to jako hipotezę. A pamięć sześciu ludzi - *jak weszła* w moją? Siedem nici prowadzących w na wpół zapomnianą przeszłość - niepowtarzalną, u każdego własną i nie znaną obcym - *jak splotły się* te nici?

Siedzieliśmy obok siebie na ławce. Dostojnie, poważnie jak dobrze wychowane dzieci. Bujaliśmy nogami, gadaliśmy. Jeden dłubał w nosie, drugi ogryzał paznokcie, trzeci rozdrapywał ukąszenie komara. Można by powiedzieć, że to przyjaciele. A przecież zaprzyjaźnią się dopiero za dwadzieścia lat!

Dowódca - chłopiec z kędzierzawą czupryną, spodenki trzymają się na staromodnych szelkach zapiętych na krzyż, skarpetki spelzły, jest nastrojony agresywnie: byle co, a już sąsiada buch łokciem w bok.

Pomocnik - anemiczny i ociężały. Przezywają go „dystrofikiem”. Skórę ma cienką - na szyi widać wszystkie żyłki. Jest prawie przezroczysty. Nie lubi dyskutować i nie chce, ale musi: towarzystwo wciągnęło go do dyskusji.

Fizyk - piegowaty, że aż strach. Twarzy nie widać spoza piegów. Ogniste włosy nie sterczą na wszystkie strony jak to zwykle u rudzielców, ale są ułożone w grzywkę. Rej wodzi Dowódca, Fizyk - też wodzirej z natury - cierpi niesamowicie z tego powodu i dlatego każdym słowem sprzeciwia się prowodyrowi.

Psycholog należy do tych, co to w szkole stają się prymusami i nudziarzami. Wie wszystko, ale pobłażliwie milczy, jeśli coś powie, to zawsze to, co jest sprawdzone, żeby trafić w dziesiątkę. Takie dzieci już trzyletnie rodzice ubierają „po dorosłemu”, a pięcioletnie prowadzą do okulisty, bo maluchy czytają wszystko, co im się nawinie pod rękę, nawet książki kucharskie.

Technik jest najniższy i dlatego złośliwy. Nos ma ostry jak lis, oczy jak szparki, usta od ucha do ucha. Pierwszy poplecznik Dowódcy. Ten pobłaża mu z pewnym obrzydzeniem, pozostali - ja również, nie ten, co patrzy na to z boku, lecz ten, co siedzi na ławce trzeci od prawej - nienawidzą go. Potencjalny skarżypyta i lizus w podstawówce. Będą go tłuc niemiłosiernie.

Wreszcie Nawigator – „rzecz sama w sobie”. Nie z

tego świata, surowy, jakby już wiedział, że za kilkadziesiąt lat będzie „gwiazdny nawigatore”. To jedna z tych rzadkich natur, które od dzieciństwa znają cel swego życia, zmierzają do niego uparcie i osiągają maksymalne wyniki. Wie wszystko o typach statków kosmicznych, o locjach trójwymiarowych, o systemie współrzędnych w przestrzeni, każdą rozmowę sprowadza do „ekliptyki”, „kosmowektorów”. Jego ulubione powiedzonko: „Ech, superświatło by się przydało!” Jakby wiedział z góry, że znajdzie się wśród tych, co pierwsi przechytrzą przestrzeń.

A toczy się nie byle jaka debata: spieramy się, jaka gra jest najlepsza.

- Konstruktor! - wykrzykuje Fizyk dążąc do przewagi.

- Zależy jaki konstruktor - cedzi solidnie i pobłażliwie Dowódca. - Konstruktorzy bywa-ją różne.

- „Zrób to sam” - chichoce Technik. - Klocki. Rudy dzidzius do dziś bawi się klockami!

- Uch, ty lisie! - Fizyk gniewnie potrząsa pięściami. - To wcale nie klocki, tylko analogowy konstruktor na mikrotrygerach! Ojciec podarował mi taki konstruktor. Z poliekranem!

Dowódca odczuwa potrzebę przechwycenia inicjatywy.

- Śmiecie! - rzuca. - Żłobek... „Świat ożywiony” - to dopiero jest frajda. Nałożysz hełm i kręć korbkami. Jak

chcesz, to lecisz w kosmosie, a jak chcesz, to przekradasz się przez dżunglę. To nie to, co twoje „trygrymigry”!

- Śmiecie? ! - oczy Fizyka nieruchomieją. - A ty sam wiesz, kim jesteś?

Spór grozi batalią. Więc wtrącam się:

- Dajcie spokój, chłopaki! Ty lubisz to, rudy - tamto. A ja nie lubię technicznych gier. Może zabawimy się w „przybyszy”? Chodźmy! Dystrofik będzie szukał. Nie umie się przecież kryć, uszy widać z odległości parseku. Niech ochrania „Centrum”. A ja pójdę na najdalszy patrol!

Dystrofik robi się czerwony. „Lis” znów szczyrzy zębami.

- Przy-y bysze - ciągnie łypiąc ze strachem na Dowódcę. — Ty byś jeszcze zaproponował zabawę w Indian. Zaraz porobimy łuki, nałamiemy strzał. Zawracanie głowy...

- A ty, „lisie - mordo tygrysia”, w co się lubisz bawić? W nic chyba!

- Niby ja? Ja.. . ja też „Świat ożywiony” lubię. Zwłaszcza „oversun”. Pięknie można wyobrazić sobie słońce...

Dowódca życzliwie potakuje.

A ja i Fizyk wrzeszczymy śpiewając:

- Lisek-podlizek! Lisek-podlizek! - i układamy od razu, łamiąc stereotypy rodzaju męskiego i żeńskiego:



- Lisico-bałwanie!

Zapomnij o „oversunie”.

Wyrzniesz o ziem mózgiem,

Boś marnym lizuskiem!

- Dystrofik! A co ty powiesz? - To do rozmowy wtrąca się Dowódca. Nie podoba mu się nasza opozycja. Psychologa nie warto nawet pytać. Wiemy z góry: odpowie „szachy”, albo „kwiz literacki”, albo „bohaterowie ulubionych książek” czy coś w tym rodzaju.

- Niby ja? - Dystrofik peszy się i czerwieni na nowo. - Ja, chłopcy, tak... nic takiego... Lubię loteryjkę. Często w nią grywamy z mamą i tatą. To dobra gra, nie wierzycie?

- Lo-te-ryjka? - Lis zjeżdża z ławki. Ryczy ze śmiechu, ale zaraz milknie, bo napotyka groźne spojrzenie Nawigatora.

- Nie dokuczaj mu! Słyszysz? A ty, starszy, też jesteś dobry! - rzuca się na Dowódcę. - Dałbyś Lisowi po szyi, żeby nie śmierdział. Loteryjka to dobra gra. „Ożywione obrazki” też są dobre. I konstruktor Rudego też niczego sobie. A ja marzę - tu wznosi zadumanie oczy ku górze - żeby dostać „Labirynt-pułapkę”!

- Co za „pułapkę”? - dziwią się wszyscy. - Nie słyszeliśmy nawet o czymś takim.

- To nowa gra. Dowiedziałem się o niej dopiero dzisiaj. Taka, znaczy się, holowizyjna rama. W niej wyrasta trójwymiarowy labirynt. Na dole miga pięć „oczek”. No i

piętnaście dźwigienek, to się rozumie. Trzeba te „oczka” przeprowadzić - wszystkie równocześnie - przez labirynt, a potem zapędzić je do specjalnej pułapki. Jeśli uda ci się zapędzić, to labirynt przepada i pojawia się pyszna holowizja, nowa za każdym razem. A jeśli chociaż jednym „oczkiem” zahaczysz o światłopłaszczyznę, to wszystkie pięć powracają znowu.

- To ci dopiero gra! - wzdychamy głośno. Milkniemy: każdy opracowuje plan, co by tu takiego zrobić w domu, żeby ojciec przyniósł za to „pułapkę”...

I wszystko się kończy. Świat dzieciństwa kurczy się do rozmiarów mesy na Statku. Na chronometrze widać czas poddający się obliczeniu. Minuta. Wokół - osłupiałe twarze kolegów.

Myślałem na początku: pobyliśmy w dzieciństwie wszyscy. I każdy był samym sobą. Ale potem - nie. „Sny” mieliśmy indywidualne. Tylko ja jeden byłem taki „szczęśliwy”. Nie tylko odmłodniałem o dwadzieścia lat w tamtej chwili, ale udało mi się wleźć do mózgów innym. Żeby tylko wiedzieć - *jak!!!*

Rzuciłem się do przyrządów. I po tym, co było, nie zdziwiłem się nawet. Wszystko działa normalnie, ale „duble” zabezpieczające, które w momencie eksperymentu powinny były stać, jak gdyby się wściekły. Matematyczny reaktor - zero. Mały reaktor - zero. Przesunięcie absolutne - zero. To jeszcze można zrozumieć. Ale że

również względne pokazuje zero! Jakby cały Wszechświat zastygł w tej minucie! Obrona pól – „dubelzatrzym” złamał się! I wreszcie ręczny kalkulator — nasz „superabak” - *sam wprawił się w ruch*. Pokręciłem kulkami, domagając się końcowego wyniku. Odpowiedź - nieskończoność! Ale nieskończoność *czego?!!*

Ot i wyrzuciłem z siebie, co miałem do powiedzenia...”

Powracam jeszcze raz pamięcią do śmierci Psychologa. Ta śmierć podziałała na mnie okropnie. Nie przyzwyczailiśmy się jakoś, aby ludzie umierali ot tak, po prostu. Był to przecież jeszcze całkiem młody wytrenowany mężczyzna. Przeszedł próby najrozmaitszych testów i został wybrany po niesłychanie ścisłej selekcji lekarskiej. I raptem wylew krwi do mózgu... Przecież ja sam też rwałem się do eksperymentu, wtedy jeszcze, kiedy kształtował się skład grupy. Zdawało się, że pasuję według wszelkich norm, tym bardziej pod względem zdrowia. I raptem znaleźli całkiem niewinny młodzieńczy częstoskurcz! Momentalnie kategoryczna odmowa. I liczne szeregi wyeliminowanych zwiększyły się o jednego człowieka. A mój przyjaciel Psycholog dostał się. I... zginął...

Jak to oceniać? Czy mnie się poszczęściło? Czy mimo wszystko jemu? Mnie, który z powodu nadmiernej dziecinnej aktywności - powodu niechcianego! - pozostał przy życiu? Czy jemu, który chociaż zmarł, to jednak

zdażył pobyć na krawędzi Niewiadomego?

...Powracałem zreperowaną „kwadrygą” do domu. W drodze nie przyszło mi jeszcze do głowy, aby samemu wziąć udział w rozwiązaniu zagadki: uważałem, że bez mojej skromnej osoby znajdzie się niemało dociekliwych umysłów. Ale wtedy nie wiedziałem o dwóch rzeczach: po pierwsze, że fona Psychologa będzie zaadresowana do mnie, a po drugie, że stało się nowe nieszczęście, straszniejsze od poprzedniego.

Jak tylko wszedłem do domu, włączył się holowizor. Krótki przerywnik audycji „Kronika”, trwożny sygnał muzyczny i spiker nadaje pilną wiadomość: zginął nie tylko Psycholog, zginęła cała załoga. Dobę po wylądowaniu zmarła cała siódemka. Przyczyna śmierci - wylew krwi do mózgu. Przyczynę wylewu bada komisja.. „Bada” do tej pory...

Załoga nie zdażyła zrobić nic. Nie zdażyła zebrać się przed komisją Akademii Nauk. Nie zdażyła wystąpić na konferencji prasowej. Nie zdażyła „skrytalizować” sprawozdań. Wystarczyło czasu jedynie na fony. Siedem dźwiękowych klocków nagranych częściowo w kosmosie, częściowo w hermoboksach przed uciążliwą procedurą „kontroli” - to wszystko, czym dysponujemy. Każdy może zamówić i otrzymać kopie. Wszystkie siedem kopii leży na moim biurku. Trzy - te dalsze - już przesłuchałem. Spośród pozostałych wybieram fonę Nawigatora.

„Nerwowe wrażenia... Niejasne wspomnienia... Nie mogę na razie liczyć na więcej. Pełne sprawozdanie będzie później. Albo nie będzie go wcale... Przyczyną tego są skrajnie skąpe informacje. O ile mogę sobie wyobrazić, w przyszłości ich nie przybędzie.

Zanim przejdę do rzeczy podstawowych, zrelacjonuję fakty znane wszystkim i niepodważalne. Niepodważalność to na razie główny atut, a na dodatek najlepszy chyba sposób przygotowania słuchacza. Potrzeba takiego przygotowania wynika z dalszych faktów.

Tak więc o Statku i naczelnym zadaniu eksperymentu. Postawiono problem zbadania czystej próżni. Przewidziana została oczywista działalność w dwóch kierunkach: pierwszy - odszukanie takowej, drugi — stworzenie przyrządu, zdolnego poddać poszukiwaną dziedzinę analizie. Za punkt wyjściowy bierzemy określenie „czystej próżni”: „Obszar przestrzeni maksymalnie wolny od cząsteczek materialnych i z możliwie minimalnym tłem oddziaływań”. Wniosek prosi się sam: poszukiwania należy prowadzić w głębokim kosmosie.

Zaczynamy „liczyć” przestrzeń. Kalkulatorowa penetracja kosmosu daje wyniki: najbliższy obszar z minimalną ilością cząsteczek substancji leży w północnej półkuli ekliptycznego systemu współrzędnych - kosmiczna długość i szerokość nie są teraz ważne - w odległości czterech miesięcy świetlnych i dwunastu dni świetlnych od

Ziemi.

Statek, który dowiózł nas do tamtego obszaru, jest zasadniczo nowy pod dwoma względami. Po pierwsze, głównym motorem jest matematyczny reaktor sprowadzający G-tensor do zera w tym punkcie przestrzeni, którym jest sam Statek, i w ten sposób stwarzający nieokreśloność odległości równą momentalnemu skokowi wewnątrz „linostruktury”. Po drugie, jego konstrukcja pozwala - w przypadku celnego trafienia do zadanego obszaru - złapać czystą próżnię w pułapkę. Osiąga się to następująco: kadłub Statku składa się z materiałów metalo-plastycznych i stanowi, powiem to dla uproszczenia, pustą kulę. Przy podawaniu impulsu na elastyczny wręg kadłub rozwiera się i mówiąc obrazowo „odwraca się na nice”, zatrzasując się wokół małej objętości próżni z zerową zawartością substancji.

Najprostsza analogia: wyobraźmy sobie nadciętą po dużej średnicy dziecinną piłeczkę. Nieznaczny wysiłek palców - i piłeczka już pokazuje nam swoją wewnętrzną powierzchnię pozostając pod względem formy tą samą kulą. Jeśli do tego dodamy, że krańce rozcięcia przy dotyku skleją się momentalnie, a „odwracanie się na nice” odbywa się w mgnieniu oka, to doprawdy, dla prymitywnego modelu Statku nie potrzeba nam nic więcej. Chyba tylko wskazówkę: przedział reaktorowy i sterownia są rozmieszczone na „biegunach”, a „cięcie” przebiega po

„południku”.

Powłoka naszego Statku chroni niezawodnie „schwytaną” pustkę przed wszelkimi oddziaływaniami, włącznie z polem elektromagnetycznym roboczych systemów Statku a nawet grawitacją, bo w momencie „zero”, czyli w momencie zatraskiwania się, zaczyna działać matematyczny reaktor i dla objętości, która okazuje się wewnątrz powłoki, tensor krzywizny przestrzeni przeistacza się w „zero”, eliminując „linostrukturę”. W tym samym momencie zaczyna funkcjonować „próżnioskop”, mający w ciągu minuty eksperymentu wykonać około miliona momentalnych „zdjęć” próżni, których energetyczne odszyfrowanie odbędzie się na Ziemi. Taki jest schemat eksperymentu. Dodam jeszcze, że zaprojektowany schemat, bo w rzeczywistości po „zatrzaśnięciu się” nasze umysły się zamąciły, a „próżnioskop” ani drgnął.

Wydarzenia rozwijały się następująco. Wystrzeliłem Statek w punkt obliczeniowy i przełączyłem energię na mały reaktor. Zaczęliśmy posuwać się powoli w przestrzeni. Błąd okazał się minimalny i dlatego po krótkotrwałym błądzeniu Statek wszedł wreszcie do pożądanego rejonu. Całą uwagę skupiliśmy na „pustomierzu” - wskaźniku zawartości substancji w próżni, czyli „pustomiędlarce” jak ochrzciliśmy ten przyrząd.

„Wielkowymiarowy poziom - pusto” - zaczęła nasza „pustomiędlarka” z daleka i wtedy również chronometr

wziął się do odliczania czasu. „Kosmiczny pył – pusto”. Spojrzeliśmy po sobie. Penetracja nie zawiodła. „Gaz międzygwiazdny – pusto”. Doczekaliśmy się! Na poziomie atomowym - jak wymiótł, a więc... „Ogólna ocena – pusto”. „Czysta próżnia” - ciągle tym samym nudnym głosem ogłosiła „pustomiędlarka”.

Ostatnie, co pamiętam z rzeczywistości *przed*, to lekki wstrząs – „pułapka” zatrzasnęła się.

Natychmiastowe odczucie: lecę gdzieś w ciemności. Później zobaczyłem pod sobą matkę - Ziemię. Wokół roztoczyła się boska przestrzeń powietrzna, a nad głową kilka lekkich chmur i słoneczne niebo niebываłej niebieskości.

Najdziwniejsze było to, że leciałem bez niczego. Za plecami nie miałem ciężkiego i warczącego monotonnie „Wichru”, barków i kiści rąk nie obejmowały wiązadła sportowych skrzydeł, nie było poczucia nieważkości, jak na parabolicznym przyrządzie treningowym. Był natomiast wlokący ku ziemi ciężar ciała, które zresztą ani myślało opadać, było baśniowe poczucie lotu i była radość. Bezgraniczny zachwyty brawura przepełniająca duszę, błogość wybrańców, upojenie zwycięstwem nad wrodzoną niedoskonałością człowieka, odurzenie władzą nad przyrodą - to wszystko przemieszało się, rozsadzało pierś, napełniało płuca jakąś nieważką substancją, która być może utrzymywała mnie w locie na wysokości.



Przysłuchiwałem się ze zdziwieniem własnemu ciału. Nie było ani jednego narządu, który pracowałby według zwykłego porządku. Serce nie biło rytmicznie, lecz wybijało jakieś zawile werble. W wątrobie czułem dziwne szczypanie, co prawda nie dokuczliwe, przyjemne. Żołądek skurczył się jakby ustępując miejsca przeponie, która pulsowała potężnie i przypominała membranę biopompy „kwadrygi” czy „trieri”. Tylko że ta pompa tłoczyła nie wiadomo co i nie wiadomo dokąd. Ręce i nogi podporządkowały się rozkazom - nie mózgu, lecz innego narządu, dopiero co w cudowny sposób zrodzonego w „dołku” - i wspaniale utrzymywały równowagę nie pozwalając, abym wpadł w „korkociąg” lub do dziury powietrznej. Co tu dużo mówić - wszystkie narządy pracowały jakoś szczególnie, ale to, co działało, wydawało mi się absolutnie naturalne, tak jakbym umiał latać od dziecka. Być może, nigdy nie chodziłem, tylko latałem...

Pode mną przepływał nie znany mi rezerwat. Dziewicze lasy, pełne aromatów sady, półdzikie parki, łąki, rzeczutki, polanki - wszystko to wywoływało we mnie błogość i pierwotne uwielbienie. Spadałem jak kamień na skupiska drzew, straszyłem szybkołotnym cieniem rybki w stawach i znów wzbijałem się w niebo, pędziłem za ptakami, zjeżdżałem po tęczy, robiłem tysiące podobnych miłych głupstw i śmiałem się, śmiałem, śmiałem...  
Aż obudziłem się w ośrodku sterowania Statkiem. Leża-

łem na podłodze i dygotałem w parkosyzmach hysterii. Psycholog rozwierał mi szczęki, wlewał witalizator, klepał po policzkach, a ja wciąż zanosilem się idiotycznym śmiechem. Zupełnie nieoczekiwanie na zmianę przyszło szaleńcze wycie i płacz. Leżałem skulony koło swojego fotela i łkałem jak opętany, tak opowiada Psycholog. A on nie kłamie. Pamiętam ten moment. Było mi rzeczywiście gorzko i boleśnie. *Nie chciałem* powracać do rzeczywistości.

Chciało mi się do końca życia latać w przejrzystym i widmowym świetle, kąpać się w kryształowych promieniach słońca, wdychać zielony zapach dziewiczej świeżości, czuć obłoki osiadające kropelkami na gorącym czole, uciekać od burzy, mknąć ku Księżycowi starając się osiągnąć najwyższy punkt lotu, a potem runąć w dół i gasnącą od rozrzedzonego powietrza świadomością wrzynać się w ciepłą mgłę ścielącą się nad nizinami - ów odgłos skwaru rozcieńczonego w zmroku - i powracać do życia. Latać, latać i latać... Wiecznie...”

Gwałtownie uderzam w klawisz wyrzutnika. Klocek wylatuje na biurko nie dogrywając do końca. Nie jestem w stanie słuchać dalej: dech mi zapało. Ostatnie godziny życia Nawigatora to najtragiczniejsza nitka w tym zaplątanym i smutnym kłębku bezsensownych zgonów.

Z jubilerską precyzją wystrzelił on Statek ku Ziemi, przekazawszy sterowanie lądowaniem Dowódcy dopiero,

gdy się przekonał, że G-tensor w pełni odzyskał swą wartość. „Kontrolę” przeszedł z jasną świadomością oszukując zespół lekarzy. Ale słowa utrwalone na fonie okazały się ostatnim rozumnym zapisem „kosmicznego snajpera”.

Już w domu stracił nagle przytomność. A kiedy się ocknął, w jego oczach nie było myśli. Mruczał jakieś bzdury, gaworzył jak dziecko, puszczał bąbelki i gorączkowo ruszał rękami, jakby chciał schwytać coś śliskiego, ale bardzo dlań ważnego, bez czego nie miał prawa odejść z tego świata. „Całkowity rozpad świadomości” - stwierdził lekarz. Ten sam, który po pół godzinie, dręcząc się z powodu swojej bezsilności, konstatował śmierć pacjenta...

Istnieje jeszcze jedna przyczyna, dla której nigdy nie wysłuchuję do końca fony Nawigatora. Dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności zostały na niej nagrane słowa, które Nawigator wypowiedział sekundę przed fatalnym wylewem krwi do mózgu. Na tę jedną jedyną sekundę odzyskał świadomość. I wyszeptał straszne w swej sensowności zdanie - to samo prawie, które wypowiedział umierając Rabelais: „Je vais quérir le grand Néant” \*.

Te słowa budziły we mnie przerażenie...

„...Oto koniec! Lot został zakończony, zakończył się eksperyment i koniec nadziei...” - fonę Dowódcy włączam z trzeciej płaszczyzny. Najważniejsze jest dla mnie teraz jeszcze raz usłyszeć „sny”. Rozmyślań jest więcej niż dosyć. Retrospektywnych relacji również. W gruncie

rzeczy wszystkie powtarzają się nawzajem. Co innego „miraże” czy „wyrodki”.

„...Zewnętrznie wszystko wygląda jak należy, a nawet logicznie. „Pojechaliśmy” po nic i z niczym powróciliśmy. Albo jeszcze tak: zanurzyliśmy się w pustkę i wynurzyliśmy się z pustymi rękami. Nic dodać, nic ująć. Mówi się trudno i żyje się dalej.

A jednak wstyd... Sobie nawzajem przykro spojrzeć w oczy, a co dopiero innym... Przecież Coś tam było! Było obok. Można by powiedzieć, że między nami. Macaj, zdawało się, rękami, obmierzaj, odłupuj kawałek, pakuj w papier i wieź na Ziemię. A jednak nie: pusto! Przeciekło jak woda między palcami, a ściślej między

*\* Idę szukać wielkiego „Nic” (fr.).*

naszymi mózgami. Skąd, co i dokąd - nie ma sensu pytać. Nie zrozumieliśmy nic, nie rozeznaliśmy się w niczym i jak nie wiedzieliśmy przedtem, tak i teraz nic nie wiemy. Kompletne dno: siedzi w Statku - ósmym cudzie świata - siódemka niegłupich na ogół i świetnie przygotowanych ludzi, uzbrojonych po zęby w najnowszy, najprecyzyjniejszy i najmądrzejszy sprzęt i... kiwa palcem w bucie, drapie się w głowę, rozkłada ręce. Ślepe szczenięta!... To kpiny w dosłownym tego słowa znaczeniu: jakby ktoś namyślnie zmusił nas do zastosowania najwyszukańszych sposobów, a potem pokazał figę.

Słowa „figa” użyłem nie bez powodu. Gdyby *nic* się z nami nie stało, rzeczywiście nic, wówczas wszystko byłoby jasne: *nie ma* ani grosza w owej próżni, nie ma, nie było i nigdy nie będzie. Ale nam *pokazano* figę! Taką ogromną figę, każdemu - swoją, we łbie każdego całą minutę ta figa panowała.

Gdyby przynajmniej ta figa ułożyła się w „pułapce” z naj-naj-czystszej próżni - wtedy owszem! Napisalibyśmy w sprawozdaniu prosto i bezpretensjonalnie: „Absolutna próżnia przy całkowitej izolacji od oddziaływań posiada właściwość zwijania się w figę”. Potem zmierzylibyśmy ją, obliczyli objętość, określili strukturę topologiczną, opisali z pomocą formuł, zdjęli z każdego palca daktylogram itd. itp. Powracamy na Ziemię - i macie, specjaliści od figur złożonych z trzech palców! Grzebcie się, piszcie opasłe tomiska, wznóście harmonijny gmach teorii!

A cóż odnotuję w sprawozdaniu w naszym przypadku? Że zobaczyłem straszidła, jakich świat nie widział? Że te straszidła o mało mnie nie pożarły? A dowody? Nie ma dowodów!!! Ot, przywidziało się, halucynacje, przemęczenie... Poleż sobie, młodziku, na morskiej plaży, wchłaniaj ozon, pływaj, ile dusza zapragnie, to i nerwy się uspokoją...

Sam poradziłbym coś podobnego każdemu, gdybym od niego usłyszał swoje fantazje. A przecież to nie fantazje!...

Szedłem przez bardzo dziwny las. Nie, to nie tak. Las był jak las: drzewa, krzaki, trawa, polanki z kwiatami i paprocią, jeziorka, zimne źródelka - wszystko jak należy. I ziemski zapach: zieleni, zeprzałej trawy, szpilek. Ale las ten zamieszkiwały najcudaczniesze, że tak powiem, stwory. Co zwierzę, to dziwoląg.

Spoza sosen wyzierał szkaradny pysk wielgachnego dzika, ale zamiast różowego ryjka miał pęczek fioletowych macek i chwycił nimi gałązki, listki, źdźbła trawy, nie opuszczając ani łodyżki i cały czas coś wsuwał do pyska - mrówki, mszyce, gąsienice, bo ja wiem? A jedna macka bez przerwy chlastała po szczecinie na plecach i bokach - odpędzała chyba gzy. Pysk, co prawda, był pyskiem dzika, ale bez kłów i zębów. Jakby je ktoś powyrywał i to całkiem niedawno: widać było wyraźnie krwawiące jamki w dziąsłach.

Dzik zauważył mnie, skierował na mnie swoje ślepie zasnute obrzydliwym półprzezroczystym błękitem, raptem zebrał wszystkie macki w jedną kulę i cisnął ją w moim kierunku, wydając przy tym głośny mlaskający dźwięk. Odkoczyłem, a stwór chrząknąwszy z zadowoleniem wrócił do przerwanych zajęć.

Nisko nad ziemią przeskakując z gałęzi na gałąź przemknęło stado szympanśów. Te też mało czym różniły się od zwyczajnych małp: ani ich ciało, ani łapy nie zwracały szczególnej uwagi, Ale nie mogłem bez obrzydzenia

patrzeć na ich mordy. Nie szczęki, ale aparat ustny jak u pasikonika. Wiecznie żujące czerwone wyrostki, z których lepкими kulkami ściekała gęsta czarna ślina.

Wyskoczyła skądś srokata kobyła. Taki mądry zwierz z ludzkimi uszami niewiarygodnej wielkości - każde jak prześcieradło. Przyjrzałem się bliżej: uszy ludzkie, ale z cieniuteńkich różowych chrząsteczek z błonami jak u nietoperza. Kobyła machnęła uszami i... poleciała mówiąc nie wiadomo czemu na pożegnanie: „Cześć!” Powiedziała to całkowicie życzliwie, wyraźnie i z sensem.

Skądś z góry spadł obnażony mózg na pajęczych łapkach, zaczął skakać po krzakach łamiąc suche gałązki: widać, był bardzo ciężki. Ziemia nabrzmiała przede mną, wzgórek pękł, rozsypał się na drobne kamyki, wyjrzały szczypcy z oczami, mrugnęły do mnie i zniknęły.

Od gigantycznego dębu odłamała się wielka gałąź, na tym miejscu otworzyła się dziupla. Zaczął stamtąd pełznąć wąż grubości solidnej belki. Z początku pomyślałem, że to wąż: miał głowę pytona. A kiedy wysunął się trochę bardziej, okazało się, że to niewiarygodna tyśiącnoga. Miała niezliczoną ilość nóg przyczepionych do tułowia, wszystkie maleńkie, obrosłe sierścią z rozdwojonymi racicami. Zatupotały nóżki po pniu, głowa ukryła się już w szczypcowej dziurze, a ciało wciąż lazło i lazło z dziupli - miało chyba ze czterdzieści metrów.

To znów przemaszerował obok słoniowy żółw. Miał

przezroczysty pancerz: widać było przez niego wszystkie narządy - krew pulsuje, serce bije miarowo, poruszają się płuca. Nic przyjemnego w tym widoku.

Bawiły się jeżozwierze. Ale nie miały igieł, tylko cieniutkie rurki zakończone lejkami: pryskała stamtąd śmierdząca ciecz.

Z gęstwiny leśnej przyskakała ropucha nie mniejsza niż cielę. Stała na tylnych łapach i wdrapała się na brzozę jak doświadczony zbieracz kokosów - tylko skąd na brzozie kokosy?! Wargi zwinięte, włazi, gwizdże coś. Ale mówiących stworów oprócz konia tam nie było.

Stoję skamieniały i szepczę do siebie: „Uspokój się. Uspokój się. Wszystko w porządku. Po prostu troszeczkę zwariowałeś. To się zdarza. To rychło minie”. Mruczę te kretyńskie bzdury i wierzę i nie wierzę, że te diabelskie widziadła istnieją w rzeczywistości.

A już ostatecznie oszalałem, kiedy pojawił się dinozaur. Rozległ się trzask łamanych pni, las rozstał się jakby i zawisło nade mną gigantyczne straszidło... Przesłoniło niebo. A na nogach-kolumnach ma nie palce, nie pazury, nie kopyta nawet - chociaż co ja wygaduję? Skąd u dinozaura kopyta? - tylko przyssawki! Jakby ten kolos nic nie ważył i wiatr mógł go unieść w powietrze, dlatego się przysysa.

Ale kiedy przyssawki wpiły się w ziemię ze świstem, rzuciłem się wreszcie do ucieczki. Biegnę i myślę: dokąd



pędzę, przecie ten drapacz chmur zrobi dwa kroki i już mnie przegoni. Odwracam w biegu głowę, a ów gigantyczny stwór nie zamierza ruszać się z miejsca. Szyję ma jak z gumy z maleńką główką na końcu. Wyciąga się, wydłuża, dogania mnie i oto jego głowa głośno uderza przede mną o ziemię. „No to koniec” - myślę sobie. Nagle widzę: to już nie głowa, lecz... dłoń, taka duża jak ja. A na niej tatuaż! Wytatuowane te same słowa: „No to koniec”.

Ocknąłem się... Ocknąłem się... Ocknąłem się... Ocknąłem...”

Fona Dowódcy zawsze zacina się na tym samym miejscu: jakaś wada w obrotach. Każę „recytatorowi” zamilknąć. Cóż to? Najdziwniejsze widziadło senne? A może tak samo dziwne jak pozostałe? Nie mogę tego powiedzieć o wszystkich nagraniach, ale w niektórych ujawnia się określone podobieństwo. Coś wdziera się do psychiki człowieka i jakby ją modeluje: „sprawdza” na zwyczajnych dla świadomości obiektach nieswoje i obce im właściwości, na-daje im nie ich cechy. I stąd mamy: żona i córka Psychologa z nieuchwytnie zniekształconymi rysami, lewitujący Nawigator, koń o ludzkich uszach, wielokopytny pyton, tatuowany dinozaur. A po co to wszystko, wie tylko pan Bóg, przepraszam - pani próżnia. Albo nie próżnia? Więc *kto?*

Jak wielki i różnorodny jest świat! I jak mały i bezradny jest rozum za każdym razem, kiedy styka się z no-

wą zagadką przyrody. A jak podstępnie płatają mu figle jego zmysły! W historii nie brak na to przykładów: wiedza cofa się często przed Niewiadomym, łamiącym dotychczasowy krąg wyobrażeń. Ale cofa się zawsze w określonym celu: żeby wybrać nowy kierunek albo wziąć rozbieg do skoku przez przeszkodę. Pierwsza ewentualność zakłada opracowanie jakościowo nowych koncepcji, druga - oczekiwanie i gromadzenie zasobów informacji. Ale co nas czeka tym razem? Czy mamy prawo *czekać*?

Czasem zdaje mi się, że fona Mechanika Pokładowego, jego „widziadło senne” zbliża się najbardziej do odpowiedzi na owe pytania, do zasady wyboru drogi. „Najbardziej”, ale tylko się zbliża...

„...Powłoka statku macierzystego wzdęła się. Potem przepona między nią a nowo narodzoną łodzią zrobiła się całkiem cienka i oberwała się: łódź oddzieliła się. Tak się rodzi kropla w kranie. Podobnie odrywa się od słomki bańka mydlana. Następnie w naciągniętym poszyciu łodzi wyodrębniły się otwory: dysze. Włączył się motor i trzymając się jak nici Ariadny optymalnego toru wejścia zaczęliśmy zstępować na planetę.

Wszystko to było już obliczone na wszystkie sposoby dawno i wiele razy: orbita statku macierzystego, moment oderwania się, krzywizna ślizgu, punkt lądowania. Ten ostatni planowano w centrum obszernej polany kilka stopni na południe od równika. Na stereoglobusie ta pola-

na wydawała się ogromną plamą liszaja w gęstej czuprynie planety, którą od bieguna do bieguna pokrywały masywy leśne. Mórz nie znaleźliśmy. Cała woda to jeziorka rozrzucone w umiarkowanych szerokościach. Kiedy opadaliśmy w dół, ekolog nie przestawał się dziwić: skąd tu wilgoć dla tak bujnej roślinności? To tylko jedna z wielu zagadek, które mieliśmy rozwiązać...

Wylądowaliśmy nareszcie. Raczej przybiliśmy do planety, bo od Ziemi zanosło nas Bóg wie jak daleko, a nie daliśmy jeszcze nazwy planecie. Potem nastąpiły ośmiogodzinne czynności rutynowe: analiza chemiczna, bakteriologiczna, radiacyjna, elektrostatyczna, gleby, biotoksyczna, sporolacyjna, odorometryczna, psychomutageniczna. Analizy, analizy, analizy... Nareszcie wszystko! Koniec! Sumator podaje konkluzję: nie ma niebezpieczeństwa dla życia, środki obrony minimalne. Nakładamy respiratorowe maski, bo pyłek jakichś tam roślin unoszący się w powietrzu może wywołać alergię, a zapachy miejscowych kwiatów nie należą do przyjemnych. Możemy wyjść...

Trudno sobie przypomnieć od razu, w jaki sposób pojawili się przed nami *oni*. Nie wiadomo, czy wyszli zza krzaków, czy stanęli, a przedtem leżeli pokotem, czy też po prostu „pojawili się”. Odnieśliśmy wrażenie, że wyrosli wprost spod ziemi. Kilku mężczyzn, zadziwiająco podobnych do nas, tylko niskiego wzrostu - były to jakby

pomniejszone kopie mieszkańców Ziemi. Za to rysy twarzy mieli niezwykle regularne i szlachetne, proporcje ciała - antyczne, pozy - spokojne: bez cienia wyższości, ale też bez śladów niepokoju.

Ubrani byli w opadające w dół fałdami płaszcze z krótkimi rękawami i lekkie sandały. Na głowach nosili cienkie, podobne do miedzianych obręcze obwite nad czołem zielonymi liśćmi. Wypisz wymaluj starodawni Hellenowie w tunikach, którzy zebrali się na święto Pana. Tyle tylko, że nie mieli fujarek.

Nastawiliśmy przenośny „linguavox” na odbiór. Potrzeba przekładu odpadła od razu. Mieszkańcy planety przemówili w naszym ojczystym języku. Trzeba dodać, że był to język absolutnie poprawny, jakkolwiek nieco archaiczny.

-Czy zachowały się w całości włosy przybyszów? - powiedział ktoś z nich. Spojrzeliśmy speszeni po sobie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

-Widzą nasze oczy, że zachowały się w całości. Radziśmy was powitać! - kontynuował ten sam głos. Jeszcze raz spojrzeliśmy na siebie, aż wreszcie nasz pilot przypomniał sobie szablonową formułę powitania.

-Pokój i szczęście mieszkańcom tego świata! Zjawiliśmy się tu nie po to, aby przynieść nieszczęście ani ze złymi zamiarami, lecz w imię wiedzy. Nieproszeni z nas goście, choć pragniemy zostać waszymi przyjaciółmi. A

na razie jesteście waszymi dobrowolnymi więźniami.

Teraz przyszła kolej autochtonów na zdziwienie. Wyraźnie zmieszani zamienili kilka słów w swoim języku. Nawiasem mówiąc, „linguavox” ich nie przełożył.

-Korzenie dążą do światła, a drogę opromienia wilgoć - włączył się do rozmowy inny autochton. — Różnorodne są głosy życia, ale smak goryczy nie jest przeszkodą dla ptaka: ptaki latają z dala od wodospadu.

Ogarnął mnie dziwny niepokój, zmieszany nie potrafiłem w żaden sposób zebrać myśli, spróbowałem wszelako wnieść do rozmowy jakąś dozę logiki:

-Niepojęte są słowa wasze, nieznajomi, ale wzajemne zrozumienie rodzi się nie od razu. Staramy się zrozumieć wasze myśli, ale to wymaga wysiłku. Zgodne dążenie do jasności zniweczy przegrodę między rozsądkiem waszym i naszym.

Twarze obcych zabarwiły się. Trudno jednak było na razie określić, czy to gniew czy zmieszanie. Zapanowało krótkie milczenie, aż wreszcie odezwał się trzeci z nich:

-Przyczyny i następstwa zapładniają czas. Od skutku do przyczyny - podmuch wiatarka, od przyczyny do skutku - obfity potok. Zbecześcić biesiadę patrzeniem to uczynić dobro dla czystości gatunku. Potakiwać tym, co minęli - to przerzucać brzemień roślin na podobieństwo przedmiotów nieżywych. Szarzyć ze złości do ognia - to spocząć w ruchliwości niepocieszonej. A wszystko to wę-

zełki na powrozie pełznącym z wnętrza ku granicy granic. Obchodzi on bariery, ale zgrubieniami swoimi czepia się szorstkości lodu, obcych myśli i sprzyja innemu bytowaniu.

No i macie. Dialog między cywilizacjami przekształcił się w absolutne, niesłychane i niewiarygodne bzdury. Dobrze sobie! Po cośmy tu w ogóle lądowali? Zresztą drugi pilot podejmuje jeszcze jedną próbę.

- To, co jest dla was oczywiste, dla nas takie nie jest. Prawdopodobnie ta zasada ma swoje działanie odwrotne. To, co jest według nas bezwzględne, wam może się wydać względne, sporne. Czyżby jednak podobieństwo naszych dwóch światów, zbieżność naszych wygładów, a więc można przypuścić, że i wspólnota naszej biologicznej budowy nie dopomogły nam w znalezieniu wspólnego języka?

Rozumieliśmy, że mówimy zupełnie inaczej, niż zwykliśmy się wysławiać, że można by było nasze próby nawiązania kontaktu ująć w prostszy kształt słowny. Podziałała chyba absurdalność tego, co się działo. Zaczęliśmy bąkać, bełkotać, zamącił się porządek myśli. Jednakowoż wyczuło się jakiś „styk” w semantyce po „przemówieniu” naszego drugiego pilota.

- Można znaleźć wspólny krok - zaczął szybko mówić pierwszy autochton - można odnaleźć wspólne oko, można na każdym wzniesieniu huśtawki życia zmierzać do

wspólnego zęba, dzioba, pióra, skrzydła, wreszcie do ogólnej łuski. Dlaczego?... Odnalezienie wspólnego języka to tyle samo co śpiewanie pieśni w deszczu lub rysowanie z pomocą tego, co płonęło. My wypowiadamy czerwone i zielone tony i jest w tym prawda doświadczenia. Słysząc tam cierpkie dotyki, a przecież w tym przejawia się jakość twórczości. Odczuwamy dotykalnie legendy i w tym jest cierpliwość wzrastania. Nasze oczy ciągną bystro ku ciepłu i w tym jest waga i doniosłość przeszłości. Ale widnokrąg jest gniewny i trawy wędrują ku umiejętności, a krasomówstwo wróży zgodność i doręczność. Musimy odejść. Niechaj nie ukłuje was migotanie gwiazd!

Zniknęli tak samo nagle, jak się pojawili. A wokół mnie, oszołomionego, unicestwionego i obalamuconego, zaczęło stopniowo wszystko gasnąć. Rozpłynęli się jeden po drugim wszyscy moi dziwni i nieznajomi przedtem koledzy z ekspedycji, zniknęła łódź, roztajał daleki las, roztopiła się w ciemności pusta polana i nastąpiła całkowita ciemność, w której rozbłysła niespodzianie mesa Statku i odseparowane od niej jedynie pseudoprzegródką centrum sterowania. Powróciłem do swego czasu, na swoje miejsce, do swoich przyjaciół. Cała szóstka miała wygląd przygnębiony i wystraszony. Ale sądząc z wyrazu twarzy, z reakcji - od histerycznego strachu do euforycznej radości - byli oszołomieni wcale nie tym, co przyszło mi prze-

żyć samemu. Czymś innym...”

Codziennie do szaleństwa łamię sobie głowę nad tą foną. Ciągłe mi się wydaje: już, zaraz schwytam rozwiązanie. Ale ono wyslizguje się, wymyka z rąk. Czasem nawiedza mnie myśl: a co, jeśli sam „fenomen”, czyli to, w czym uwikłała się świadomość załogi, podrzuca mi kluczyk do własnej tajemnicy, podpowiada - za pośrednictwem „widzenia” jednej z ofiar - słowa: „Sezamie, otwórz się!”, ale wypowiedziane w jakimś bardzo dziwnym języku? Chodzi mi o to, czy nie został zaszyfrowany w słowach mieszkańców tamtej planety jakiś potajemny sens, po którego odgadnięciu moglibyśmy zgłębić istotę chwilowego pomieszania zmysłów załogi i istotę samej próżni, jeśli, oczywiście, można wobec niej zastosować słowo „istota”? To znaczy, gdybyśmy wszystko, co wydarzyło się ze Statkiem w odległym kosmosie, powiązali właśnie z próżnią.

Za każdym razem odrzucam te supozycje, uważam je za oczywiste brednie, ale przecież wracają do mnie z niezmiennym uporem. Równolegle wyłania się często inna myśl, zdrowsza i trzeźwiejsza, a nawet raczej otrzeźwiająca. Czy dialog załogi łodzi z mieszkańcami innego świata nie przypomina „rozmowy” ludzkości z przyrodą?

Zadajemy jej pytania, których sens jest całkowicie zrozumiały *dla nas*, ona odpowiada na nie *po swojemu*, posługując się *swoją* logiką, kierując się *swoim* porząd-



kiem semantycznym. Wpadamy w osłupienie i albo zmieniamy pytanie, albo też z całych sił usiłujemy zrozumieć odpowiedź. Jeśli udaje nam się ją zrozumieć, robimy kolosalny krok do przodu i nazywamy go postępem w nauce, a jeżeli nie - to niepowodzeniem obarczamy doświadczenie zarzucając mu „niedokładność”, albo eksperymentatorów łapiąc ich na niekonsekwencji i pośpiechu.

W każdym razie cokolwiek by się kryło za „snem” Mechanika Pokładowego, zawsze słyszę w nim co najmniej jedną - cichą i poufną - nutę: czyż logika naszej wiedzy jest aż tak silna? Logika Waszej wiedzy - dociera do mnie szept Niewiadomego.

Na moim biurku pozostała ostatnia nie przesłuchana fona - fona Pomocnika Dowódcy. Ale jakoś tracę chęć słuchania jej. Zmęczyłem się. Znam ją, oczywiście, prawie na pamięć, podobnie jak wszystkie inne. Zazwyczaj nie przeszkadza mi to obciążać adapter niezmiennym programem. Ale dzisiaj... Niech program pozostanie nie zakończony. Gdyby mój pierwszy wybór padł na fonę Pomocnika, to w moich uszach do dziś brzmiałyby ostatnie jego słowa: „Bądź przekłeta, próżnio!” Podobnie jak jego narzekania na zbędność jego osobistego udziału w ekspedycji. Że to niby tradycyjna asekuracja, że jest mało znaczącą figurą, że gdyby, jeśli by coś się zdarzyło z Dowódcą, to wówczas... I jego mrożąca krew w żyłach relacja o tym, jak przed powrotem na Ziemię włączył elektro-

fonowe „kontrolne” nagranie, czyli fonę Statku i usłyszał, że w ciągu minuty - tej samej, kiedy to każdy miał „wizjadła senne” - mesą wstrząsało ogłuszające zaprogowe wycie, którego w czasie trwania eksperymentu nikt, oczywiście, nie słyszał. I opis jego własnego „wyrodka”: pędził w czarnym wąskim tunelu w jakimś strumieniu wody-nie-wody czy też sprasowanego powietrza-nie-powierza i ulegając prądowi przyspieszał ruch lub przyhamowywał, zatrzymywał się i znów pędził, wirował w wicherze wśród jakichś kulistych kolektorów, trafiających się na drodze, a to wszystko bez promyka światła i bez najmniejszych doznań. Nie czuł ciepła czy zimna, głodu czy pragnienia, rześkości czy zmęczenia, snu, czasu, braku powietrza - nie pragnął wyrwać się z tunelu, ale nie czuł również apatii. Tak oto niosło go nieskończenie długo czy też zupełnie niedługo i tylko dawał się odczuć zapach. Nie uderzał w nozdrza, bo nie było przecież oddechu, lecz dawał się odczuć w ogóle - odległy, zapomniany, niemowlęcy zapach: ciepły aromat mleka matki.

Mógłbym usłyszeć to wszystko. Ale nie będę słuchał: jestem zmęczony. Wyłączam adapter, zgarniam w kupę wszystkie fony i mieszam je na biurku: jutro znów będę wróżył, którą mam wybrać i czyj usłyszę głos.

Wstaję z fotela, przeciągam się i podchodzę do okna. Jest już noc. Zaraz zdejmę z szyby napięcie przejrzystości i pokój będzie oświetlony tylko łagodnym światłem we-

wnętrznym. Ale nie mam jeszcze zamiaru kłaść się spać. Wiem, że nie potrafię się szybko uspokoić. Zacznę chodzić z kąta w kąt i myśleć, myśleć, myśleć.

Obrzucam przeciągłym spojrzeniem gwiaździsty nieboskłon. Między cienką błonką atmosfery, która ochrania i mnie, i wszystkich ludzi, i Ziemię, a mamiącymi migoczącymi punkcikami - rozpościera się Próżnia. Nie czysta, nie absolutna, ale ta zagadkowa, niedostępna, a może wcale niezagadkowa, tylko pozbawiona jakichkolwiek cech, nikomu niepotrzebna pustka, za którą siedmiu ludzi oddało bynajmniej nie puste i bardzo potrzebne życie. A gdzieś tam w jej głębi jest najbardziej pusta pustka, pustka w pustce: ani pyłku, ani atomu, ni-i-c.

Iraptem... O Boże!... Nie, to niemożliwe! Nie!!! Nie wierzę własnym oczom!... W pół-nocnej części firmamentu, gdzie przed chwilą nie było n-i-i-c, zjawił się lśniący punkcik. Ten punkcik poszerza się ledwo dostrzegalnie. To już nie punkt, to oślepiająca plamka, malutka tarcza jaśniejąca mocniej niż Wega, Capella czy Wenus.

A gdzieś w głębi podświadomości przeczucie przeobraża się już w zdecydowaną wiedzę, rodzi się myśl, odpędzam ją od siebie i przywołuję, przywołuję drżąc z triumfu i przerażenia równocześnie. Jaka dziś data? - pytam sam siebie. - Piąty sierpnia. Dzień eksperymentu? Dwudziesty szósty marca - podpowiada usłużnie pamięć. Wszystko się zgadza. Właśnie minęły cztery miesiące i

dwanaście dni od dnia eksperymentu. Eksperymentu, który odbywał się w odległości czterech miesięcy *świelnych* i dwunastu dni *świelnych* od nas. Po prostu dotarło do nas światło! A co to? Gwiazda? Tak, tylko tak, to nowa gwiazda.

Dlaczego nie oczekiwaliśmy tego dnia? Czemu nawet nie pomyśleliśmy o nim? Nie przeprowadziliśmy najprostszego arytmetycznego wyliczenia! Och ty, logiko, logiko, nie oczekująca podpowiadania i dlatego zadufana w sobie, chełpliwa nasza logiko! Rozbijałaś sobie łeb o „widziadła senne”, nie dawały ci spokoju oszalałe przyrzędy i obijałaś się nosem o to, co oczywiste i dostępne. A powinniśmy byli wiedzieć od razu: cztery miesiące i dwanaście dni. Ani mniej, ani więcej...

Jak i kiedy narodziła się nowa gwiazda? W momencie eksperymentu? Po nim? Nie wiemy tego na razie i chyba długo nie będziemy wiedzieć. I nigdy może się nie dowiemy, dlaczego daleki eksperyment uśmiercił załogę. Jakżeż jednak potrzebne jest nam to światło! Teraz przynajmniej mamy świadomość, że nie na próżno zginął Nawigator w ataku szaleństwa, nie na próżno Fizyk rozbił się w „spurcie” - mózg odmówił posłuszeństwa, kiedy wyjeżdżał z domu: nie na próżno całą siódemkę spotkała ślepa śmierć. Tak było i tak będzie: przez zdradę zmysłów, przez odwieczny spór, który Rozum toczy z dostępnymi uczuciami, wygrywając i przegrywając równo-

cznie, przez zagładę pionierów, dziwną i nielogiczną... niewytłumaczalną... nie poddającą się objaśnieniu... ludzkość zmierza ku wiedzy...

A gwiazda urodziła się mimo wszystko. Czyli że jest *coś* w próżni i bardzo, bardzo potrzebny był feralny eksperyment. Dotarliśmy do gwiazd, „nie wiadomo jak skacząc tam”, mówiąc słowami Fizyka, ale dotarliśmy. A teraz zrozumiemy też małe słówko *jak*. I jeszcze wiele takich słówek. Po prostu będziemy zapalali gwiazdy...

Przełożył *Florian Nieuważny*